

Rzymskie skarby w Pruszczu

str. 5

Syn marnotrawny Sopotu - Dudi robi Dudinalia

str. 6-7

Powrót srebrnego florecisty na rodzinne tony

str. 8-9

Wyprawa na paradę floty rosyjskiej

str. 16-17

Szamanka: Polko-Kubanka

str. 22-23

Piątek, 2 sierpnia, 1996 r.

Nr 180 (15732) Rok LI ISSN 0137/9062 indeks 350028

Rejsy

DEIENNIK BAŁTYCZNY
magazyn



Fot. Reuters

Część Boeinga 747,
który 18 lipca
ekspłodował wkrótce po
starcie z Nowego Jorku
i runął do Atlantyku.
O najczęstszych
przyczynach awarii
samolotów
pasażerskich piszemy na
str. 10, 11

1000 LAT



Listy

Bursztynowi naganiacze

Jestem wieloletnim przewodnikiem. Bardzo Szanowną Redakcję przepraszam, ale muszę się przyznać, że po przeczytaniu w „Rejsach” nr 174 z 26 lipca br. „odgrzewanego” artykułu p. Janusza Czerwińskiego na temat handlu bursztynami, ogarnął mnie pusty śmiech. Cemu? Bo to są „bujdy na resorach”. (...)

Zdarza się oczywiście, że ktoś z zagranicznych turystów wyraża chęć kupna bursztynowej pamiątki. I tu muszę przyznać, że chętnie wstępuję wówczas do sklepu pana N. na Długim Targu (jest to jedyny jego sklep!). Cemu?

Otóż po pierwsze mam tu 100-proc. pewność, że bursztyn jest prawdziwy i nie narażę się po raz drugi na tak nieprzyjemny list jak ten od niemieckiej turystki, która będąc u swe-

go złotnika, pochwaliła się bursztynową broszką, kupioną w Gdańsku, jesienią ub.r. Złotnik ten po sprawdzeniu orzekł, że nie jest to oryginalny bursztyn, jaki za drogie marki został kupiony, lecz tylko prasowany.

Co ja mogę tej turystce odpowiedzieć? A bursztyn ten został kupiony właśnie na ul. Mariackiej!!! Autentycznie!!! Na takiej podstawie zagraniczny turysta urabia sobie zdanie o Polsce.

Po drugie: Na zapleczu u p. N. jest szlifiernia bursztynu, przy której on chętnie pokazuje turystom w uprzejmy sposób, jak się bursztyn obrabia oraz w dobrym języku niemieckim opowiada o jego rodzajach, kolorach i wieku, o sposobie wydobywania oraz wizualnie demonstruje jak się bezbłędnie sprawdza jego autentyczność.

I o dziwo, zdarza się, że jeśli turysta to wszystko obejrzy, posłucha i nic nie kupując wychodzi, jest żegnany uprzejmie, z uśmiechem, tak napraw-

dę po europejsku. I to jest właściwa reklama naszego kupiectwa. Ile sklepów z bursztynami czyni w Gdańsku tak samo? Ja obecnie wchodzę tam może raz a może dwa razy w miesiącu, bo i turystów w tym roku mało i zainteresowanie mniejsze. A kiedy przechodzę mimo tego sklepu, jakoś nikt za mną nie goni i nikt mi nie grozi, co w tym reportażu jest już kuriozalnie idiotyczne. Życzę trochę trzeźwego patrzenia!

Z poważaniem
Anna Wysocka
Gdańsk

Jeszcze o domu przy ul. Norwida 4

Jako mieszkanka domu przy ul. Norwida 4 w Gdyni chciałabym dołożyć swoje trzy grosze. Uważam, że artykuł p. A. Fibak, zamieszczony

w „Dzienniku Bałtyckim” 5 lipca br. nie miał na celu krytyki szpitala w Redłowie, jak to niektórzy odebrali, a już zwłaszcza pielęgniarki, która pracuje tu z poświęceniem, co w dzisiejszych, skomercjalizowanych czasach jest, niestety, rzadkością.

Sądzę, że pani redaktor nie chodziło o jeden, wyjątkowo smutny wypadek, ale o status tego domu.

Dom przy ul. Norwida 4 w Gdyni miał być luksusowym domem dla kombatanów, z wszystkimi urządzeniami i możliwością pełnej rehabilitacji. Ludzie starzy i samotni, którzy kilka lat temu zdecydowali się tu zamieszkać, sądzili, że będą bezpieczni w momencie, gdy złoży ich choroba lub gdy przyjdzie odchodzić im na zawsze. Pani Bożena Heszke, członek Zarządu Spółdzielni Mieszkaniowej Osób Niepełnosprawnych, przynajmniej, że miał to być taki dom, jak „Za Falechronem”, ale nic z tego nie wyszło, bo zabrakło pieniędzy. Obecnie jest to

zwykły dom mieszkalny, jak w innych spółdzielniach.

Stwierdzenie p. Heszke jest zwykłą psychotechniką. Przecież już sama nazwa, nadana 1 stycznia br. - Spółdzielnia Mieszkaniowa Osób Niepełnosprawnych - zobowiązuje do opieki nad nami.

Uważam, że mieszkańcy tego domu winni mieć: całodobową opiekę pielęgniarską, gabinet lekarski z prawdziwego zdarzenia, zapewnione miejsce w szpitalu, gdy zajdzie taka potrzeba, możliwość rehabilitacji na miejscu, możliwość kupowania obiadów dietetycznych (na kieszeń emeryta), przyzwoite pomieszczenie dla klubu i biblioteki. Uważam też, że autobus linii 128 powinien mieć końcowy przystanek przed domem przy ul. Norwida 4. Niestety, żaden z tych postulatów nie jest spełniony. Na dodatek - mieszkańców paraliżuje strach i na ogół boją się wypowiadać.

Nazwisko do wiadomości redakcji



BONDÉX

DYRUP



Znajdziesz w dobrych sklepach chemicznych!

DYRUP POLSKA

93-231 Łódź, ul. Dąbrowskiego 238
tel. (42) 49-10-17, 49-25-55, fax (42) 49-26-66

CZARTEROWE WAKACJE: GRECJA, TURCJA, TUNEZJA, CYPR, KRETA I MAJORKA!



Ceny zawierają przelot, pobyt w hotelu, opiekę pilota oraz animację. Sprawy o ew. dodatkowe opłaty lub obowiązkowe wycieczki.

TANIO I DOBRZE!

WAKACJE DLA 4 OSÓB W JEDNYM POKOJU

SUPER OFERTA!

WYSOKA JAKOŚĆ HOTELE ****

Jeżeli komfort hotelowy nie jest dla Państwa najważniejszym warunkiem dobrego spędzenia urlopu, oferujemy Państwu tanie wycieczki z zakwaterowaniem w mieszkaniach lub hotelach turystycznych.

Jeżeli stanowicie grupę 4 osób, które chcą podróżować razem, mogą mieszkać w 1 pokoju lub mieszkaniu a komfort hotelowy nie jest dla was najważniejszy, mamy do zaoferowania specjalną cenę:

Dobry hotel lub apartament, zlokalizowany blisko plaży, z basenem i animacją kilka razy w tygodniu. Hotel przystosowany także dla najmłodszych, oferuje do 50% rabatu dla dzieci. Cena ze śniadaniem i obiadokolacją.

Jeżeli chcą Państwo spędzić urlop w komfortowych warunkach, mamy do zaoferowania hotel o wysokim standardzie i poziomem usług ze wszelkimi udogodnieniami:

	1 TYG.	2 TYG.	1 TYG.	2 TYG.	1 TYG.	2 TYG.	1 TYG.	2 TYG.
LIPIEC	od 999zł	1299zł	od 3748zł	4748zł	od 1399zł	1899zł	od 1799zł	2299zł
SIERPIEŃ	od 999zł	1299zł	od 3748zł	4748zł	od 1124zł	1499zł	od 1624zł	2248zł
WRZESIEŃ	od 748zł	1048zł	od 3224zł	3924zł	od 1024zł	1399zł	od 1324zł	1824zł
PAŹDZIERNIK	od 748zł	924zł	od 2999zł	3748zł	od 999zł	1199zł	od 1124zł	1548zł
LISTOPAD	od 748zł	924zł	od 2999zł	3748zł	od 999zł	1199zł	od 1124zł	1548zł

SUPER OFERTA: CYPR + REJS EGIPCI - IZRAEL 1tydz. od 1124zł; 2 tyg. od 1399zł

LAST MINUTE:
Dzwon 24h na dobę pod numer: (0-61) 530 887 by poznać naszą SUPER TANIA ofertę na ostatnie miejsca w tym i przyszłym tygodniu! Zamów bezpłatny katalog pod telefonem (0-61) 527591.

Co tydzień wyloty z Warszawy!

ScanHoliday
Gdańsk, Długi Targ 39/40, tel: (58) 311 779, 314 367

10007210/11/21

BASENY KAPIELOWE

BEZPOŚREDNI PRODUCENT ! NATYCHMIASTOWY ODBIÓR !



ATRAKCYJNA OFERTA CENOWA !

Pompy, Filtry, Akcesoria

POOL-TECH-MEPROZET
Ustron Nierodzim ul. J. Kreta 2
CZYNNE CODZIENNIE

tel. 0-33/54-36-94
fax 0-33/15-29-10

o tym
się mówi

Czy terrorystów należy karać śmiercią?



Mieczysław Gierszewski, mechanik lotniczy

- Terrorystów należy karać jak najostre. Byłbym nawet za karą śmierci, chociaż i ta pewnie ich nie odstraszy. Zamachowcy to przeważnie fanatycy, którzy dla sprawy, o którą walczą, gotowi są również ponieść śmierć.

(af)

Fot. Maciej Kostun



Arcybiskup Tadeusz Gocłowski, metropolita gdański

Fot. Tadeusz Gruchalla

Kościół nie odrzuca możliwości obrony społeczeństwa również przez karę śmierci. Obecnie Ojciec Święty w encyklice „Evangelium Vitae” podkreśla, iż ludzkość powinna sięgać po inny sposób obrony, niż kara śmierci. Konkludując: jestem osobście przeciwnikiem kary śmierci. Natomiast jestem zwolennikiem takiej izolacji przestępców, aby nie zagrażali społeczeństwu.

(TG)

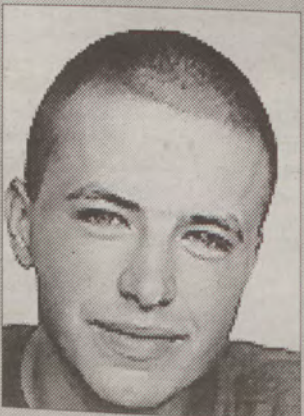


Krzysztof Ibis, dziennikarz

Fot. Tadeusz Gruchalla

- Z punktu widzenia chrześcijańskiego niedopuszczalne jest odbieranie komuś życia, ale patrząc na rosnącą przestępczość być może przyszedł moment, gdzie nie ma wyjścia. Moim zdaniem tacy przestępcy powinni podlegać najwyższemu sankcjom karnym. Niestety, w tej sytuacji jestem za śmiercią. Może to jedyna kara, która odniesie skutek.

(TG)



Tomasz Wojciechowski, student prawa

Fot. Maciej Kostun

- Kara śmierci to środek ostateczny. Akt terrorystyczny też jest czymś skrajnym. Gdybyśmy terrorystę karali śmiercią, znaczyłoby to, że wzorujemy się na terrorystach. Sądzę, że takiej symetrii należy unikać. Poza tym kara śmierci może okazać się mało skuteczna. Przecież terroryści często sami szukają śmierci.

(RW)

magazyn Rejsy

2 sierpnia 1996

Od redaktora



Fot. Robert Kwiatek

Już za rok, za niecały nawet rok - milenium Gdańska. Co to będzie? - wyjaśniamy na

str. 12 - 16

Powracamy dziś - po ubiegłotygodniowym Gibraltarze - do tematu „katastrofy lotnicze”. Stało się już niemal pewne, że to na skutek ataku terrorystycznego w przeddzień Atlanty eksplodował w powietrzu Boeing 747. Ale to nie najważniejsza nawet przyczyna powietrznych tragedii. Średnio, co roku, ginie w nich 800 osób. W ciągu pierwszych siedmiu miesięcy tego roku w wypadkach lotniczych zginęło już 500. Dlaczego zginęło, czy musiało zginąć?

Przyszłość rozpoczynającego się Jarmarku św. Dominika zależy od powrotu do tradycji - słyszymy od jego dyrektora. Jubileusz tysiąclecia Gdańska też jest w znacznym stopniu ekspozycją tradycji miasta, powrotem do nich i rekonstrukcją zniszczonych fragmentów. O tym dzisiaj najobszerniej. Rosja wraca do historycznych początków swojej floty - podpatrujemy jak to trzystulecie wygląda. Czasem „na stare śmieci” wracają ze świata marnotrawni synowie; tak wraca sopocianin Andrzej Dudziński, chyba jednak nie na długo. Wracają bohaterowie - z tarczą lub medalami - tak wraca srebrny florecista Ryszard Sobczak. Na dłużej, na łono rodziny. Iwona Przybylska de Acosta wyjechała na Kubę 27 lat temu za swą miłością; powróciła do kraju jako... szamanka, santero. Choć nie samą magią i nie tylko w kraju żyje. Tak; powroty w znacznym stopniu organizują to wydanie „Rejsów”.

Kogo zaś mierzą powroty, niech zajrzy z nami (i amerykańskimi futurologami) w XXI wiek. Lub poszuka odpowiedzi na pytanie: po co Szwedzi organizują wyścigi gumowych kaczek? Przyjemnej lektury i trzeźwego sierpnia!

Tadeusz Skutnik



Rejsy

Redagują: Aleksandra Paprocka, Tadeusz Skutnik (kierownik).
Opracowanie graficzne: Krzysztof Ignatowicz, Studio BUM.
Stale współpracują: Piotr Dominiak, Grzegorz Kurkiewicz,
Jerzy Samp, Janina Wieczerska.
Tel. 31-79-26; 31-50-41 w. 350, 351

Nasze rozmowy

Szansa Jarmarku
św. Dominika
to powrót do tradycji.
Święto chleba,
święto piwa i...
kultury.

Z Jerzym Pasińskim,
prezesem
Międzynarodowych
Targów Gdańskich,
które
przejęły organizację
Jarmarku
św. Dominika
rozmawia
Artur Kietłbasinski.



Fot. Robert Kwiatek

Przyszłość w tradycji

- Po co targom jarmark? Czy nie było bezpieczniej skupić się na organizowaniu kolejnych imprez, dyskontowaniu sukcesów i wymyślaniu nowych wystaw...

- Bardzo długo analizowaliśmy, czy wchodzić w jarmark, czy też nie; zresztą do tej pory w firmie są bardzo różne zdania na ten temat. Mamy świadomość, że nie jest to impreza, na której można szybko zarobić. Są jednak też bardzo mocne argumenty przemawiające na korzyść jarmarku. Jest to przecież protoplasta targów. Jeżeli 735 lat temu papież bullą zdecydował się nadać

miastu uprawnienie do prowadzenia jarmarku, to znaczy, że już wtedy było to znaczące wydarzenie handlowe w skali Europy. Można to znakomicie wykorzystać dla reklamowania miasta i targów. Organizator, który napisze, że w danym roku jest kolejny, już 736 jarmark, to wykorzystuje to znakomicie dla promowania i Gdańska i siebie samego. Takiego argumentu reklamowego nie da się po prostu kupić, chociaż kupić można dzisiaj naprawdę dużo rzeczy. Dlatego chcemy to wykorzystać.

- Od kilku lat nie ma wcale długiej listy chętnych do or-

ganizacji jarmarku. Poprzedni organizator wygrał przetarg, w którym był jedynym kandydatem. Targi też nie miały silnej konkurencji. Czyżby impreza tej rangi nie była okazją do wzbogacenia się? Na jarmarku nie można zarobić?

- Na jarmarku można by było zarobić i to sporo, jednak tylko wówczas, gdyby nie było programu kulturalnego. To właśnie on kosztuje. Gdyby jednak oszczędzać na występach i koncertach, nie byłoby magnesu dla bardzo wielu osób. Na jarmarku zarobiłoby miasto; nawet jeżeli nie da się tego policzyć wymiennie, co do złotówki, to zarabiają han-

dlowcy, właściciele hoteli. Nawet jeśli nie zarobi kasa miasta, to zyskają mieszkańcy, którzy zresztą wydadzą to później.

Kwestie finansowe wymagają odpowiedzi na podstawowe pytanie: ile pieniędzy chcemy zainwestować, a ile zarobić. W radzie nadzorczej targów są przedstawiciele miasta, które jest udziałowcem spółki, dzięki temu władze Gdańska mają pewność, że każda wydana i zarobiona złotówka będzie dokładnie obejrzana.

- Czy fakt, że miasto jest udziałowcem MTG pomaga w organizowaniu imprez?

W latach poprzednich pod adresem władz i urzędników mnożyły się zarzuty, którym trudno było odmówić racji...

- Mam bardzo dobry kontakt z prezydentem Posadzkim i Zarządem Miasta. Nasze interwencje u niego są bardzo skuteczne, spotykamy się z daleko idącą współpracą. Urzędnicy z reguły pomagają nam i nie mogą temu zaprzeczyć. Z drugiej strony zdarzają się też sytuacje, że komuś wydaje się, że praca od 7 do 15 to wszystko co może i powinien z siebie dać.

- Czy jarmark może zyskać taką renomę, że w pierwszych dniach sierpnia pełne turystów będą nie tylko trójmiejskie hotele, ale też pensjonaty na Kaszubach, z których ludzie będą dojeżdżać do Gdańska?

- To jest możliwe, ale nieosiągalne w rok. Najpierw trzeba ustalić czego tak naprawdę chcą ludzie, używając języka marketingu - trzeba wykreować produkt. Zastanawialiśmy się, jako firma, czego chcą mieszkańcy oraz turyści i doszliśmy do wniosku, że oczekiwania poszczególnych grup mieszkańców są całkowicie rozbieżne. Jedni chcą rozrywki, koncertów, drudzy ciszy i spokoju. Jeszcze innych interesują wyłącznie zakupy. Musimy się zatem zastanowić, czy wybrać jedną grupę i starać się ją zadowolić, czy zaoferować różne rzeczy dla jak najszerzego kręgu odbiorców. Decyzja władz miasta jest taka, że staramy się zadowolić jak największą liczbę osób. To nie jest produkt dla wybranych.

- Zaglądając w program jarmarku można znaleźć festyny piwne, czy inne imprezy schlebające raczej niezbyt wyrobionym gustom...

- Liczymy się z taką krytyką, ale jeśli chcielibyśmy zrobić festiwal dla tysiąca, czy dwóch tysięcy osób, swoistą imprezę dla elit, to po co robić cały jarmark. To ma być impreza masowa, a nie dla wybranych. To ma być coś specjalnego dla mieszkańców i turystów, chociaż przyznaję, że trudno wykreować imprezę, która będzie zadowalała wszystkich.

- Nie uciekniemy jednak od problemu bezpieczeństwa. Bary piwne i biesiady rodzą niebezpieczeństwo burd, awantur, kradzieży...

- Można podejść do tego, tak jak podchodzono przez 50 lat Polski Ludowej. Wszyscy wówczas pili piwo, mimo że walczyło się z tym. A może przy pomocy piwa powinniśmy próbować zmienić złe nawyki picia na umór „twardych” alkoholi? Gustów nie można zmienić pisząc o tym w gazetach, trzeba dawać możliwość realizacji tego w praktyce. Nikt nie nauczył się kulturalnie pić piwa, jeśli nie będzie miał gdzie tego robić. Trzeba zrobić coś, aby dogonić kraje, w których ta kultura picia jest wyższa. Chociaż rzeczywiście można było zrobić „jarmark na sucho”. Tylko, że to nie da, to przestanie być impreza dla tysięcy ludzi. Nie podejmując trudnych tematów, nie dochodzi się do trudnych rozwiązań.

- Tegoroczny jarmark jest tylko przymiarką do tego organizowanego w przyszłym roku, w roku milenium Gdańska. Czy nie sądzi pan, że w razie klapy obchodów milenium stanie się pan, wraz z MTG dyżurnym „chłopcem do bicia” odpowiedzialnym za klapy obchodów...

- Może to paradoks, ale ocena przygotowań do milenium w Gdańsku jest dużo gorsza od ocen innych. Od znajomych z Krakowa i Warszawy słyszę, że organizując 400-lecie stołeczności Warszawy wzorowano się na przygotowaniach do milenium, mimo, że 1000-lecia jeszcze tak naprawdę nie obchodzimy. A tam jesteśmy postrzegani jako przykład, i to przykład niedościgniony. Problem leży w pieniądzu. Mieszkańcy oczekiwali jednego lub kilku bardzo spektakularnych zdarzeń, które kosztują praktycznie miliony dolarów. A tymczasem na palcach jednej ręki można policzyć naprawdę bogate firmy w naszym regionie. Popatrzmy na Atlantę i Igrzyska Olimpijskie. Jeśli jest się miastem, gdzie mieści się centrala koncernu Coca-Coli, to można się porywać na naprawdę duże przedsięwzięcie. My musimy zgodzić się z tym, że 1000-lecie będzie na naszą miarę. Jeżeli chcemy więcej, musimy poczekać. I dlatego bardziej huczna, choć mniej okrągła, może być np. 1010 rocznica pierwszej wzmianki o Gdańsku...

- Co jest zatem przyszłością Jarmarku św. Dominika?

- Powrót do tradycji. Kiedyś gdański jarmark to było 17 samodzielnych targów. Dzisiaj określenia Targ Drzewny, Targ Rybny, Targ Węglowy kojarzą się tylko z miejscami w Gdańsku, a tam naprawdę handlowano tymi produktami. Oczywiście nie ma powrotu do handlu końmi, ale chodzi o ideę, sposób podchodzenia do tej imprezy. Dlatego wracamy do święta chleba, święta piwa. Może w przyszłości Jarmark św. Dominika wykorzystywałyby, oprócz drobnych handlowców, także firmy samochodowe do promocji swoich produktów. Gdy proponowaliśmy to dealerom, reakcją było zdziwienie. Ale za kilka lat może być zupełnie inaczej. I będzie to też nawiązanie do tradycji.

- Dziękuję za rozmowę.

Jerzy Pasiński ma 49 lat. Jest absolwentem Wydziału Budowy Maszyn Politechniki Gdańskiej, gdzie przez 17 lat pracował jako nauczyciel akademicki i uzyskał tytuł doktora. Prowadził działalność w spółdzielczości mieszkaniowej. W latach 1989-90 był prezydentem Gdańska. Od 1992 r. jest prezesem zarządu i dyrektorem Międzynarodowych Targów Gdańskich SA. Członek Gdańskiego Klubu Biznesu.

Zona Daniela jest nauczycielem akademickim w Akademii Medycznej w Gdańsku. Mają troje dorosłych dzieci: Annę, Katarzynę i Jerzego.

* *Koparka
na rzymskim
cmentarzysku*

* *Bizuteria
sprzed wieków*

* *Koński
pochówek*



Archeolog Mirosław Pietrzak prezentuje gliniane naczynie.



Kolia z paciorków szklano-bursztynowych, ze srebrnym pierścieniem, srebrną zawieszka, kosmetyczną łyżeczką do czyszczenia z końca III i początku IV wieku n.e.

Fot. Maciej Kostun



Srebrna zapinka z końca III i początku IV wieku n.e.

Fot. Maciej Kostun

Pruszcz jak Rzym

kolie z paciorków szklanych i bursztynowych, szklane naczynia, półlepianki, szkielek konia, misternie wykonane zapinki, srebrne pensetki - to tylko niektóre zabytki odkryte w Pruszczu na ulicy Wita Stwosza. Znajdowała się tu nekropolia z III-V w. n.e. W latach 20., podczas grodzienia terenu pod przyszły cmentarz katolicki, natrafiono na bogato wyposażony grób szkieletowy. Gdy rozbudowywano gmach ZUS zostały odkryte dalsze groby z późnego okresu wpływów rzymskich

Szkielek koło komendy

- Trzeba wezwać policję. Tu są ludzkie kości - zażądali wówczas robotnicy pracujący przy rozbudowie ZUS.

- Nie sądzę, żeby policjanci prowadzili śledztwo w sprawie sprzed dwóch tysięcy lat - powiedziała po przybyciu na miejsce pani archeolog, słusznie przypuszczając, że szkielek jest wiekowy.

- ZUS rozpoczął prace budowlane bez zgody wojewódzkiego konserwatora zabytków, na miejscu podlegającym specjalnej ochronie archeologicznej - wspomina archeolog, Mirosław Pietrzak. - Na szczęście policjanci zawiadomili muzeum, że są jakieś garnki i kości. Przyjechałem i zamurowało mnie. Wstrzymaliśmy roboty i w ciągu miesiąca zbadaliśmy kilkanaście bogato wyposażonych grobów szkieletowych.

I ciekawostka! W jednym z grobów znaleźliśmy pięć srebrnych denarów rzymskich. Najwcześniejszy pochodził z czasów Trajana, bity był

w 102 roku, a najpóźniejszy - cesarza Kommodusa ze 192 roku.

Prace na tej ulicy wznowiono podczas zakładania rur kanalizacyjnych w 1994 roku.

Nie obrabowane groby

- Jest to jedno z sześciu cmentarzy z okresu wpływów rzymskich na terenie Pruszcza. Stąd pochodzi grób z piękną rzymską misą z brązu - mówi Dorota Rudnicka z Muzeum Archeologicznego w Gdańsku.

- Musimy bardzo uważać, aby niczego nie uszkodzić, ani nie przegapić. Ze zrozumieniem do naszych poszukiwań podchodzą pracownicy firmy Półwysep, kładący tu rury kanalizacyjne. Ostrożnie zdejmują ziemię, gdy ich o to prosimy.

Nasz reporter z zainteresowaniem śledził postępy prac na ul. Wita Stwosza. Najpierw znaleziono gliniane naczynia, ludzkie kości. Wreszcie nie obrabowane groby, a w nich bizuterię.

Skąd tu koński pochówek?

Największe sensacje były jednak jeszcze przed nami.

- Znaleźliśmy koński pochówek - relacjonują zadowoleni archeolodzy.

Koń leżał na prawym boku, jakby spał.

- Na terenach dawnych Prusów i Litwinów konia nie zabijano lecz jeżdżano - mówi archeolog, Mirosław Pietrzak. - Także u Scytów był on towarzyszem wojownika i razem z nim odchodził w zaświaty. Były to małe koniki. Nasz koń też nie jest wielki.

Kto był jeźdźcą? Może człowiek, którego pochowano obok w kłodzie trumiennej. Grób niestety, był słabo wyposażony i prawdopodobnie obrabowany. Widać wyraźny wkop starożytnych rabusiów. Czy zjawili się oni wkrótce po pogrzebie, czy też grób uszkodzono, gdy między IX a X wie-

kiem osadnicy budowali tu swoje domy?

Rabusie nie zdążyli

Kilka dni później znaleziono następne nie naruszone groby. W jednym z nich pochowano 10-letnią dziewczynkę. Obok leżały potłuczone naczynia i fragmenty szklanych pucharków. W innym 30-letnia elegantka, miała na sobie trzy kolie z paciorkami szklanymi i bursztynowymi, na palcu złoty pierścionek, były też srebrne zapinki ze złotymi foliami.

- Są to pierwsze znalezione na tych terenach zapinki tego typu - pokazuje precjoza pan Mirek. - W 1985 r. na ul. Mickiewicza również znaleziono zapinki brązowe ze złotymi foliami i szklanymi oczkami. Te z ul. Wita Stwosza są zdobione wyobrażeniami ptaków i morswinów.

Pruszcz jest niezwykle atrakcyjny dla tropicieli przeszłości. Na niewielkiej przestrzeni po obu brzegach rzeki Raduni znajduje się aż sześć cmentarzy. Założonych mniej więcej w czasie, kiedy tereny Polski znajdowały się pod znacznym wpływem cywilizacji celtyckiej, a w późniejszych wiekach rzymskiej i prowincjonalnorzymskiej.

Koniec bursztynowego szlaku

W Pruszczu i jego okolicach prawdopodobnie kończył się jeden ze szlaków wiodących znad Adriatyku do południowych brzegów Bałtyku. Drugi wiodł na Półwysep Sambijski. Tuż dokonywano wymiany handlowej.

Już na początku naszego wieku w trakcie kopania żwiru przy obecnej ul. Władysława Sikorskiego znaleziono groby ciałopalne i szkieletowe. Do ówczesnego muzeum w Gdańsku trafiły jednak nieliczne zabytki z tego cmentarzyska, wśród nich 80 monet

brązowych z czasów cesarstwa rzymskiego.

Następnych odkryć dokonano w latach 20., kiedy budowano cukrownię, przy ul. Chopina. Również w rozwidleniu szosy, przy ul. Grunwaldzkiej i Zastawnej w latach 20. znaleziono groby szkieletowe.

Tuż przed wybuchem II wojny światowej, na zapleczu zabudowań dawnego właściciela Wien'sa, którego dom znajduje się przy ul. Grunwaldzkiej, archeolog Reinhard Schindler, odkrył rozległe cmentarzysko pochodzące z II wieku p.n.e. i pierwszych wieków n.e. Z lakonicznych wzmianek wiemy, że zdołał wyeksplorować 250 grobów ciałopalnych i szkieletowych.

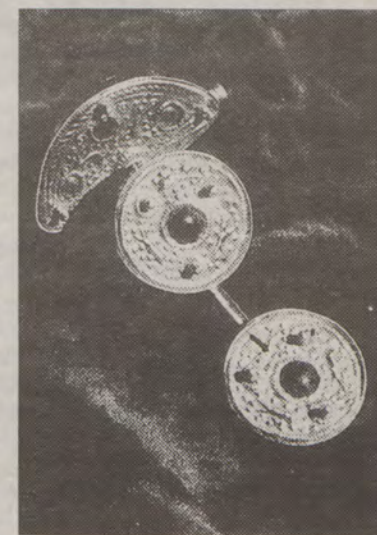
W końcu lat 50. i na początku 60. znajdowano liczne obiekty w zakolu Raduni, na dzisiejszym osiedlu im. Adama Mickiewicza. Niestety, szybka zabudowa, a także niedoskonała uchwała o ochronie zabytków, doprowadziły do tego, że udało się tam uratować tylko pojedyncze obiekty, jak np. piec do wypalania wapna.

W ostatnim trzydziestoleciu przeprowadzono na szeroką skalę badania na dwóch cmentarzyskach przy ul. Komunalnej i Mickiewicza. Odkryto setki grobów ciałopalnych i szkieletowych z II wieku p.n.e. - IV wieku n.e.

Archeolodzy przypuszczają, że zanim w X wieku powstał Gdańsk, w pierwszych wiekach naszej ery w Pruszczu istniało już centrum handlowe i gospodarcze

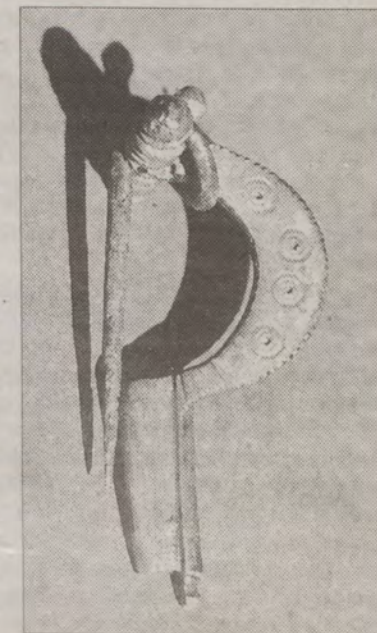
W ostatnich dniach archeolodzy Mirosław Pietrzak i Małgorzata Tuszyńska odkryli przy ul. Wita Stwosza kolejne groby szkieletowe, a w nich nowe zabytki.

Grażyna Antoniewicz



Srebrna zapinka płytowa, połączona z końca III i początku IV wieku n.e.

Fot. Maciej Kostun



Złoto-srebrna zapinka z końca III i początku IV wieku n.e.

Fot. Maciej Kostun

Paleontologowie przypuszczają, że w okolicy lędźwi diplodoka znajdował się mózdzek pomocniczy, służący tylko do kręcenia ogonem, gdyż droga od główki do końca zwierza była za długa.

Głowa i ogon

Pomysły humanisty

Akcja Wyborcza „Solidarność” zaskoczyła i rośnie. Skupia podobno już 36 różnych ugrupowań, a wciąż są widoki, że dołączą nowe. W zeszłym tygodniu np. mignęła mi w „Panoramie” świeżo powstała partia o szlachetnej nazwie Demokracja Patriotyczna czy coś, dokładnie nie spamiętałam, bo i nie było trzeba: typowa kanapa ze szczygielkowym programem. „Szczygielkowym programem” nazywam poklejone w ptasiej główce kawałki pozbieranych tu i ówdzie sloganów, ubarwiających piórka politycznej ptaszyny tak, jak wg legendy Stworzyciel ubarwił szczygiła resztkami farb, które Mu zostały po pomalowaniu innych ptaków. A więc ochrona rodziny, walka z bezrobociem, troska o ziemię itp. słuszne głosy. Szczygielki nawet się szczególnie nie wysilały, żeby błysnąć jakimś konkretem, bo od razu zadeklarowały, że chcą się włączyć do Akcji Wyborczej.

Cóż, kupić nie kupić, potargować można. Ktoś naiwny wyraziłby zdziwienie, że po co fatygować sąd rejestracji partii, która zaraz na starcie chce się wtopić w większy organizm polityczny? A właśnie, że nie. Bo wtedy zginęłoby się w tłumie szeregowców, a tak - proszę, przewodniczącemu całemu ugrupowaniu, reprezentującemu 87 głosów, należy mi się przynajmniej jeden mandacik...

Kiedy myślę i słyszę o Akcji Wyborczej, natrętnie zaczyna mi się przypominać wierszyk z „Kubusia Puchatka”: „Wszyscy w długim szluzie szeregu, by Północny zdobyć Biegun. A więc najpierw kroczył Krzyś, przy nim Królik, za nim Miś [...] a na końcu cała klika Krewnych - i - Znajomych Królika”.

Otóż gdybym była w szlabie A.W., to bym się wcale nie cieszyła z przyrostu ogona krewno-królikowego. Akcji grozi to bowiem upodobnieniem się do pewnego gatunku dinozaurów, mianowicie diplodoka. Olbrzymi ten roślinożerca odznaczał się małą główką na długiej szyi, potężnym, masywnym korpusem i długim ogonem, dwa do trzech razy dłuższym od szyi. Niektórzy paleontologowie przypuszczają, że w okolicy lędźwi diplodoka znajdował się mózdzek pomocniczy, służący tylko do kręcenia ogonem, gdyż droga od główki do końca zwierza była za długa, sygnały z centrali docierały za późno i były za słabe.

Jeśli Akcja przeobrazi się w diplodoka, ani chybi będzie musiała powołać jakieś pod-centrum do spraw koordynacji, które zresztą nie będzie miało łatwego życia, bo ogon będzie chciał majtać po swoim. Póki czas tedy, należałoby ze wszystkich sił starać się o wzmocnienie głowy i to wcale nie przez doklejenie na końcu szyi partii o większym ciężarze gatunkowym, ale przez szukanie tegich, fachowych umysłów, z doświadczeniem i siłą przekonywania, które by poszczególne segmenty gmachu Rzeczypospolitej, wymagające remontu (a wymagają prawie wszystkie), realistycznie i bez względów na humory elektoratu przepatrzyły i zaprojektowały. Do tego nie potrzeba wcale być politykiem. Wierzę, że są tacy ludzie i życzyłabym Akcji, żeby ich znalazła i przyciągnęła. Bo nawet w polityce pewne quantum odpowiedzialności i bezinteresowności jest nieodzowne.

Janina Wieczerska

- Fenomen artysty jest odchyleniem od normy. Artystom wydaje się, że wszystko im się należy i trzeba się bardzo kontrolować, żeby w to nie uwierzyć do końca.

Powrót syna marnotrawnego

Andrzej Dudziński, słynny malarz i grafik, przebywa w Sopocie od zeszłej niedzieli w związku z trzydniowymi „Dudinaliami”. Artysta przygotował dwie wystawy w Państwowej Galerii Sztuki i w Dworcu Sierakowskich w Sopocie. Odbędzie się również promocja jego najnowszego albumu biograficznego. Natomiast w najbliższą niedzielę o godz. 16 czeka wszystkich odsłonięcie malowidła ściennego Dudi-murale na budynku przy ul. Boh. Monte Cassino 42.

Artysta, jak sam mówi, jest na etapie powrotu do źródeł, do swoich korzeni, do rodzinnego miasta. Niczym syn marnotrawny do macierzy. W obrazach, prezentowanych w sopockiej galerii, powraca też do źródeł w malarstwie. Zeszły rok był dla niego znaczący - obchodził 50 urodziny i 25-lecie pracy twórczej. Stąd zaduma nad sobą i własną twórczością.



Andrzej Dudziński z małżonką Magdaleną i suczką Gonią.

Fot. Robert Kwiatek

Andrzej Dudziński: malarz, grafik. Urodził się w Sopocie w 1945 r. Studiował architekturę na Politechnice Gdańskiej, architekturę wnętrz i grafikę w PWSSP w Gdańsku i plakat w Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie w pracowni Henryka Tomaszewskiego.

Podczas pobytu w Londynie (1970-72) współpracował z alternatywnymi pismami „Time Out”, „Ink”. W Polsce znany jako autor Szpilkowego Ptaka Dudi, twórca plakatów filmowych i teatralnych, ilustrator, autor scenografii teatralnych. Od 20 lat przebywa na stałe w Stanach Zjednoczonych. Jest ilustratorem w czołowych pismach amerykańskich „The New York Times”, „Playboy”, „Time”, „Rolling Stone”. Wystawia swoje prace w USA, Europie i Japonii.

Stan cywilny: żonaty od 29 lat. Małżonka, Magdalena Dudzińska (z domu Dygat), manager, agentka, administrator domowy, głowa do interesów, pomocna dłoń, organizator życia.

Pupil: czteroletnia suczka Gonia, która słucha tylko swego pana.

Ulubiona potrawa: chrupiąca bułka z serem, ogórkiem i pomidorem jedzona na sopockiej plaży oraz dania włoskie; wegetarianin.

Hobby: praca; nawet kiedy odpoczywa, pracuje - projektuje, szkicuje; podczas podróży robi zdjęcia, rysunki.

- Sopot zaciążył na mojej psychice i osobowości. Był gniazdkiem, miejscem bezpiecznym. Obecność niegdyśszego ustroju w Sopocie nie dawała się tutaj we znaki tak, jak w Warszawie, czy w Gdańsku - wspomina Andrzej Dudziński. - Morze z jednej strony, lasy z drugiej, zaciszne otoczenie. Duże znaczenie też miał też fakt, że Sopot nie został mocno zniszczony w czasie wojny.

Chętnie wraca do Sopotu. Zna każdy jego szczegół i lubi mówić o mieście z czasów swojego dzieciństwa i młodości. W latach 50. następowało przenicowywanie z niemieckości na polskość. Dzieci bawiły się egzotycznymi zabawkami, np. porozrzucanymi po ulicy żetonami z niemieckiego kasyna w Grandzie, niewypalami.

- Ulubionym miejscem zabaw był tunel ciepłego ogrzewania, który wiodł od okolic dzisiejszego „Fantomu” do Szpitala Balneologicznego. W podziemiach spotykały się konkurencyjne grupy chłopaków. Zupełnie jak w mojej ulubionej książce „Chłopcy z placu broni”.

Ważnym dla niego miejscem był też bar mleczny przy „monciaku”. Ogromni „kariatydy”, niegdyś podtrzymujący okazałą budowlę, wówczas nie podtrzymywali już niczego, gdyż piętra kamienicy zostały zburzone. Andrzej Dudziński dopatruje się w zainteresowaniu tym obiektem źródeł swojego humorystycznego spojrzenia na świat.

Boguś z rynku i ciotka Gaśnica

Folklorem Sopotu byli też kłoszardzi, poprzednicy Parasolnika. Był Boguś z rynku i ciotka Gaśnica, która ostentacyjnie robiła pranie w fontannie przed Urzędem Miejskim. Atmosfera miasta, które ożywało na trzy sezonowe miesiące, wpływała na wszystkich mieszkańców i zaważyła również na jego dalszych perypetiach twórczych. Ale w Sopocie, w przeciwieństwie do innych miast, nie było przymusu robienia kariery.

- Tu panował zdrowy klimat. Nie było napięcia. Dzięki

temu moja młodość upłynęła bezstresowo - mówi artysta. - W Sopocie było też coś magicznego. Morze, zagraniczne statki z daleka i koldra lasu.

Homopodwójnikus

Czasy swojej młodości, w totalitarnym państwie określa społeczną schizofrenią. - W domu mówiło się co innego, na zewnątrz co innego. Rezultatem tego był „homopodwójnikus”, człowiek cyniczny, nie mający złudzeń, umiejący lawirować pomiędzy tym, co można było robić, a tym, co było zakazane.

Zdaniem artysty naturalną konsekwencją tamtych czasów jest dzisiejsza Polska ludzi średnich, nieprzystosowanych do nowych warunków. W jednym kraju powstały dwa narody: ludzie młodzi, bez kompleksów i przebojowi oraz starsi, przestraszeni i poniekąd przegrani.

Dudi vel Pokraka

Dzieckiem owych schizofrenicznych czasów był „Szpilkowy” twór Andrzeja Dudzińskiego, czyli Ptak Dudi.

- Dudi, którego zostawiłem w Polsce przed wyjazdem do Ameryki, był moim alter ego. Wziął się z potrzeby znalezienia skrótu myślowego i symbolu. W atmosferze Lafontaine'owskiej dwuznaczności zwierzątko mogło powiedzieć więcej. Przemyciałem własne myśli w ptasim przebraniu.

Po latach artysta skłania się ku interpretacji mistycznej. - Dudi był objawieniem. Ptak, narysowany właściwie dla siebie i dla grupki znajomych, zyskał - ku zaskoczeniu - ogromną popularność. Później Dudi przeistoczył się w Pokraka, drukowanego w „Tygodniku Powszechnym”. Metamorfoza była próbą nadążenia za czasem. Dudi należał do epoki lat 70. Pokrak był symbolem czasów bardziej brutalnych, drapieżnego społeczeństwa.

- Na początku próbowałem w pokrakowych rysunkach ślizgać się po tematyce ogólnoludzkiej. Ale nie można pozostawać ślepym na wydarzenia i zjawiska irytujące. Pokrak był wentylem dla moich frustracji. Wierzyłem też, że



Malarstwo dla Andrzeja Dudzińskiego jest końcem drogi artysty wizualnego.

Fot. Robert Kwiatek

parę osób rozbawię albo uda mi się kogoś pocieszyć.

Pokrak był więc tubą spraw lokalnych i satyrą na rozdmuchaną politykę.

Amerykańskie stanie na palcach

W roku 1977 Andrzej Dudziński wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Mieszka na nowojorskim Manhattanie. Na pytanie, czy artystą jest trudniej być w Polsce, czy w Ameryce, odpowiedział:

- Jeszcze sześć lat temu było to oczywiste. Na pewno trudniej w Ameryce, bo trzeba tam wykazywać się niesamowitą inicjatywą, ciągle stać na palcach i zaskakiwać nowym. W kraju artysta był poważnie traktowany przez władzę, która wiedziała, że sztuka ma duży wpływ na społeczeństwo. Znajdował się więc pod specjalną opieką tejże władzy. Teraz Polska coraz bardziej upodabnia się do „obszaru świata bezwzględności”. Z jednej strony taka sytuacja zmusza człowieka do ciągłej aktywności i pełnego wykorzystania swojego potencjału, z drugiej zaś - wydaje się to nieludzkie.

Za parawanem

Andrzej Dudziński nie dał się wciągnąć do końca w ten szalony wyścig. Wytworzył rodzaj parawanu psychicznego, który chroni go m.in. przed szarą rzeczywistością, przytłaczającą mnogością przekazu informacyjnego. Z okien swojego mieszkania widzi drzewa i czasem wydaje mu się, że mieszka pod Sopotem. Mnogość i natłok produkcji zauważa dopiero, kiedy idzie do kina. Kino jest najbardziej niebezpieczne - wabi mnóstwem efektów specjalnych, technicznych nowinek, co nie idzie w parze z poziomem artystycznym. Rozsmakowało się ono w brutalnych scenach mordów, rozszarpywania na kawałki.

- Mówiąc o kinie, lamentuję nad straconym młodym pokoleniem, któremu w uszach dudni przeskalowany bas, a w oczach ma sceny naszpikowane przesadnym realizmem.

Sztuka zaskakiwania

Andrzej Dudziński ilustruje artykuły w najlepszych pismach amerykańskich. Jego zdaniem ilustracja prasowa jest tym, czym dobry plakat. Powinien to być lapidarny znak, który przyciąga uwagę.

- Mam naturalną tendencję do bogatego obrazowania, którą staram się kontrolować. Lubię anegdoty w obrazie. Ilustracja prasowa powinna oddawać samą esencję artykułu. Jest to synteza tekstu podana w sposób oryginalny i zaskakujący.

Ład przeciwko nieporządkowi

Z dwu lat studiów architektonicznych pozostało artyście uporządkowanie. Dbałość o detal. Jednocześnie - ponieważ architektura była niechcianym kierunkiem, narzuconym przez ojca, architekta - podświadomie walczył z tym uładzeniem. W malarstwie inspiracją były rzeczy, których nie da się sklasyfikować - demonologia ludowa, odniesienia antropologiczne, to, co niedostrzegalne gołym okiem, metafizyczne. Jak piszą krytycy, ściera się też w jego płótnach figuratywizm z abstrakcjonizmem oraz uporządkowanie z nieuporządkowaniem. Prawie każdy obraz jest wielką metaforą.

Malarstwo dla Andrzeja Dudzińskiego jest końcem drogi artysty wizualnego. Fotografia, rysunek są nurtami towarzyszącymi malarstwu. Autor Dudiego fotografuje rzeczy, których nie chce malować - kawałki murów, pęknięcia. Wykorzystuje je potem w projektach okładek książek. Wzbrania się przed malar-

stwem elektronicznym. Cały urok tkwi w antycznej już dzisiaj technice malowania: zapachu terpentyny, marszczącym się płótnie - to jest wyzwanie dla artysty.

- Lubię malować, ale nie lubię mówić o obrazach. Najgorsze zaś jest szkolne pytanie „co artysta chciał przez to powiedzieć”. Widzowi trzeba pozostawić wolność interpretacji.

Niedosięgniętym mistrzem jest dla artysty Hieronim Bosch. W cyklu ostatnich obrazów wraca do źródeł hiszpańskich - skarbcza malarstwa światowego reprezentowanego przez Velasqueza, Goyę, Picassa.

Do tablicy!

Amerykańska pracownia artysty znajduje się w przed-

wojennej szkole. Tablice zawsze urzekały Andrzeja Dudzińskiego. Każdy pamięta stresujące wezwanie „Do tablicy!”. Tablica była miejscem tortury, gdzie wychodziło na jaw, że lekcja jest nie-nauczona.

- Teraz wzywam sam siebie do tablicy, ale z pełną swobodą. To wyzwala we mnie zupełnie nowe emocje.

Zamierza odkupić od właściciela szkoły antyczne łupkowe tablice w dębowych ramach i na nich namalować pierwsze obrazy cyklu. Przygotowuje też na zlecenie wydawnictwa „Znak” ilustracje do serii szekspirowskiej w tłumaczeniu Stanisława Barańczaka.

Aldona Kaszubska



Dudi, narysowany właściwie dla siebie i dla grupki znajomych, zyskał ogromną popularność.

Rys. Andrzej Dudziński.

Gdy z lewicy słyszę o pozyskiwaniu strategicznych inwestorów z zagranicy, nasza prawica, sercu miła, mówi o zgubnej roli obcych kapitałów na ziemi, której nie rzucim i nie damy wykupić, bo z niej nasz ród...

Dylematy przedwyborcze

Chwyty dozwolone

Opatrzność uodporniła mnie na pogłębianie przyjaźni polsko-radykalnej. Znałem z opowieści i beletrystyki okropności 1920 roku i wiedziałem, co groziłoby Polsce, gdyby nie Cud nad Wisłą. W 1939 na Wołyniu przeżyłem inwazję Armii Czerwonej, porównywalną z pchnięciem nożem w plecy. Gdy odkryto w 1943 roku katyńskie groby, nie wątpię, kto strzelił Ojcu w potylicę. Wreszcie w styczniu 1945 zakończył się mój sen o szpadzie, gdy „Setka - Limba”, partyzancka 12 pułku AK, musiała złożyć broń. Wkrótce pod Łodzią budowałem pas startowy dla Migów, a służba w wojsku łopacianym nie była wiele lżejsza od doli żołnierzy górników.

Ale, spowiadając się, nie przemilczę późniejszego zauroczenia przebudową Polski sielskiej w przemysłową. W Stoczni Gdańskiej radowałem się budową statków coraz nowocześniejszych, nie zdając sobie sprawy, iż wiele z nich za psi grosz odstępujemy Wielkiemu Bratu. Zresztą cena i zysk, a raczej strata, były pilnie strzeżoną tajemnicą. Potem, jako dziennikarz, śledziłem budowę Huty Katowice od pierwszego sztychu łopaty do pierwszego wytopu surowki. Zapał wystygł, gdy oprowadzający mnie po terminalu linii szerokotorowej inżynier przemówił otwartym tekstem: - Patrz pan, tu przywiezł ruskimi torami kieszonką rudę, a wywiezł stal. A co my z tego będziemy mieć? Smród na całe Zagłębie i Śląsk, martwe lasy, syf i malarię...

W niezapomnianym 1989 roku stałem się zwolennikiem odwrotu od centralnie planowanej i scentralizowanej gospodarki, systemu nakazowo - rozdzielnego, limitów, bonów i talonów, w stronę liberalizacji przepisów, prywatyzacji i wolnego rynku. Z radością witałem etapy epoki Balcerowicza: handel wprost z bagażnika, etap koców i polowych łóżek, stalowe żaby albo szczęki, przejście do kramów i budek, wreszcie powstawanie sklepików cioci Kłoci z mydłem i powidłem, zagrożonych podobno teraz budową supermarketów. Każdy przejaw interwencji państwa uważam za zniewolenie wolnego rynku, krok wstecz i hamowanie reform.

I tu dylemat! Ukochany związek, panna „S” przeżywająca pod Krzaklewskim drugą młodość, bierze się za rządzenie, bo po cóż stanąć chce za rok do wyborów? Czekają nas akcjonariaty pracownicze z nawet 40 proc. akcji gratis dla załogi, gdzie pracownicy będą zarazem pracodawcami i żaden prezes im w konsumpcji zysków nie podskoczy... Gdy z lewicy słyszę o liberalizacji cel, pozyskiwaniu strategicznych inwestorów z zagranicy, przyspieszaniu integracji z UE, stymulowaniu prywatyzacji, restrukturyzacji wsi i tworzeniu miejsc pracy poza rolnictwem - nasza prawica, sercu miła, mówi o zgubnej roli obcych kapitałów na ziemi, której nie rzucim i nie damy wykupić, bo z niej nasz ród... Opowiada się ona za tradycyjnym gospodarstwem, niechby półhektarowym, dewaluacją złotego, by eksporterom dodać zysków bez wysiłku, powszechnym uwłaszczeniem majątku narodowego nawet dla przedszkolaków, maciupeńkami sklepikami, pracą gwarantowaną także dla nierobów, przyłączeniem Unii Europejskiej do Polski na naszych warunkach, a nie odwrotnie... I bądź tu Chrzanie mądry na kogo oddać głos!

Jan Chrzan

„Łeba letnią stolicą Polski” - to hasło zostało potraktowane przez usteczan jako naruszenie artykułu konstytucji, w którym powiada się, że stolicą Polski jest (w domyśle: przez wszystkie cztery pory roku) Warszawa.

Ustka broni Warszawy

Rejsy po gospodarce

Promocja jest sztuką. I tak jak prawdziwej sztuki, promocji można się do pewnego stopnia nauczyć na uczelniach, kursach, szkoleniach, ale ponadto trzeba mieć do niej talent, a przynajmniej tzw. nosa.

Działania promocyjne mają jeden ostateczny cel: zwiększenie sprzedaży lub zysku. Skuteczność na tym polu jest więc podstawowym kryterium ich oceny. Oczywiście nie powinna to być skuteczność za wszelką cenę. W promocji obowiązują pewne zasady, dobre obyczaje, niepisane (przeważnie) kodeksy etyki zawodowej. Bywa, że nawet wielkie firmy łamią powszechnie akceptowane reguły. Kontrowersyjne kampanie reklamowe Benettona (np. wykorzystanie na plakatach i w magazynach zdjęcia pokrwawionej koszulki zamordowanego chłopca w Bośni) są tego najbardziej spektakularnym przykładem. To kwestia kultury, obyczajów, dobrego smaku. Bywa też, że w promocji dochodzi do naruszenia prawa. Przeważnie dotyczy to naruszenia praw autorskich, czyichś dóbr osobistych lub wprowadzania w błąd klientów. Zdarzają się też oskarżenia o naruszenie praw fundamentalnych.

Ciekawostką roku 1996 na naszym rodzimym rynku promocyjnym stanie się zapewne proces o łamanie konstytucji. Przez gminę Łeba i to z niskiej chęci zysku. Ktoś odpowiedzialny za promocję Łeby wymyślił bowiem slogan reklamowy: „Łeba letnią stolicą Polski”. Zostało to potraktowane jako naruszenie tego artykułu konstytucji, w którym powiada się, że stolicą Polski jest (w intencji ustawodawcy - przez wszystkie cztery pory roku) Warszawa. Z oskarżeniem wystąpiła jednak nie prawowita stolica Rzeczypospolitej, ale sąsiad Łeby - Ustka.

Objrzałem w telewizji obszerny program na ten temat. Wynikało z niego, iż usteczanom jest bardzo żal, że to nie oni wpadli na pomysł owego sloganu. To duża przykrość, dać się wyprzedzić w biznesie. Należy z Ustki przytaczać szereg faktów (liczbę mieszkańców, turystów, WC-tów itd.) mających świadczyć o ich przewadze nad Łebą. Było to zupełnie bez sensu. Rzeczowa dyskusja ze sloganem (np. „Cukier krzepi”, „LOT-em bliżej”) nie prowadzi do niczego mądrego. Nie słyszałem, by firma Jacobs podejmowała tego typu polemikę z firmą Tchibo sprawie sloganu „Podaj to, co najlepsze”. Slogan można zwalczyć tylko innym, lepszym sloganem.

Myślałem, że Ustka wytacza proces Łebie, po to by zrobić wokół siebie trochę wrzawy. Niestety, widząc szersze zaciętrzewienie tamtejszych władz, popadłem w zadumę. Dobit mnie pan mecenas występujący jako pełnomocnik gminy. Uczeń i śmiertelnie poważnie dowodził, że Polska ma jedną stolicę i Łebę trzeba przykładać do ukarać za uzurpację, zamach na konstytucję i rzucającą się w oczy bezczelność.

Choć promocja jest sztuką, to trzeba mieć i tutaj nieco zdrowego rozsądku. Śmieszność w biznesie, tak jak i w całym życiu publicznym, zazwyczaj kończy się fatalnie. Za porażki gospodarcze (reklamowe) nie należy brać rewanżu na gruncie konstytucyjnym. To inny ring, inna dyscyplina. I więcej luzu w Ustce. Bo inaczej trzeba będzie ogłosić Ustkę stolicą papugi*.

Piotr Dominiak

* papuga - pieszczołtwe: adwokat.

Anna Sobczak - dwukrotna uczestniczka igrzysk olimpijskich w Seulu (1988 - 22 miejsce) i Barcelonie (1992 - 11 miejsce), brązowa medalistka Uniwersjady (Anglia - 1991), uczestniczka Turnieju Masters najlepszych florecistek świata (Niemcy - 1990 r. - 8 miejsce), mistrzostwa świata (USA - 1989 - 5 miejsce), zdobywczyni 27 medali na mistrzostwach Polski, w tym trzykrotna indywidualna mistrzyni Polski seniorek. Sportową karierę zakończyła po igrzyskach olimpijskich w Barcelonie w 1992 r.



Ryszard Sobczak - dwukrotny uczestnik igrzysk olimpijskich w Barcelonie (1992 - brązowy medal w turnieju drużynowym) i w Atlancie (1996 - srebrny medal w turnieju drużynowym). Mistrzostwa świata (srebrny medal w drużynie - 1990), dwukrotny brązowy medalista w drużynie w 1993 i 1995 r., brązowy medalista Uniwersjady w 1995 r. Wielokrotny medalista mistrzostw Polski, w tym trzykrotny indywidualny mistrz Polski seniorów.

Anna i Ryszard

Poznali się na szermierczej planszy. Okazało się, że sport walki - floret - może łączyć.

Jeden z typowych bloków na osiedlu Młodych. Po wejściu na klatkę schodową, na tablicy informacyjnej, ogromny napis - „Serdecznie witamy Medalistę z Atlanty”. Teraz już wiadomo, że jesteście pod właściwym adresem. Tutaj właśnie mieszkają państwo Anna i Ryszard Sobczakowie. Ona - była florecistka, on - wicemistrz olimpijski po drużynowym sukcesie reprezentacji Polski na igrzyskach w Atlancie.

Od kilku dni telefon u Sobczaków dzwoni częściej niż zwykle. Więcej jest też wizyt i kontaktów towarzyskich. Każdy chce pogratulować olimpijskiego medalu, spotkać się, porozmawiać, posłuchać jak to było w Atlancie. Pan Ryszard ze stoickim spokojem znosi te niedogodności, chociaż najchętniej poświęciłby cały swój czas rodzinie. Sukces na olimpiadzie dał mu status sportowej gwiazdy, lecz w jego zachowaniu nie ma nic z gwiazdorstwa.

Nie sposób nie zacząć rozmowy od finałowego i przegranego, niestety, meczu z Rosją. - Niemal cała sportowa Polska widziała, atakując przekornie - że mieliście szansę na złoto i że pan nie bił się w tym meczu najlepiej.

- Nawet żona mi to mówi - odpowiada z uśmiechem pan Ryszard. - Niestety, cała Polska nie widziała, jak bitem się w szczególnie ważnych i trudnych meczach z Niemcami i z Austrią. A wówczas, co wykazała statystyka zadanych trafień, byłem najlepszy w naszej ekipie. Natomiast z Rosjanami rzeczywiście walczyłem słabiej.

- Finałowy mecz - wtrąca pani Ania - oglądałam wspólnie z żoną trenera reprezentacji, panią Krystyną Szymańską. Przysięgam, iż nie potrafiłymi zachować olimpijskiego spokoju. Nasze okrzyki pobudziły pewnie sąsiadów, ale nikt nie zgłaszał pretensji. Większość też oglądała transmisję z Atlanty.

- W rodzinie Sobczaków każda ze stron może się pochwalić trzykrotnym zdobyciem tytułu indywidualnego mistrza Polski. To żadna tajemnica, że połączył was... floret. Jak doszło do pierwszego spotkania?

- To było tak dawno - próbuję sobie przypomnieć. - Na pewno było to na zawodach. Miałem 16 lat - wspomina Ryszard - a Ania była ode mnie 4 lata starsza. Od razu mi się spodobała, ale nie bardzo wiedziałem, jak nawiązać bliższą znajomość. Coś tam mówiłem jej „na pani”, a później napisałem list. No i tak to się zaczęło. - A wychodzi całkiem niezłe - komentuje słowa męża pani Ania.

- Niestety, musi pani godzić się z częstą nieobecnością męża w domu. Na poprzednich igrzyskach w Barcelonie startowaliście oboje i chyba taki układ lepiej wam odpowiadał.

- Owszem, w Barcelonie rzeczywiście byliśmy razem i można powiedzieć, że było wspaniale, ale wcale nie rozpaczałem z tego powodu, iż w pewnym momencie pojechałam się z szermierczą planszą. Teraz przed Atlantą Rysiek był na obozie aż 260 dni. Ja to rozumiem, chociaż jest mi ciężko. Trzyletnia Zuzanna i roczny Piotruś wymagają

opieki. Mam nawet w głowie taki przewrotny - choć nierealny - plan, aby po wspólnym urlopie, na który się wybieramy, zostawić Ryśkowi dzieciaki i samej wyjechać na dłużej.

- Gdzie spędzicie urlop? - Wszystko jest już zaplanowane. Trochę nad jeziorem, bo tu na Kaszubach mamy mały domek, a później pojedziemy do mojej rodziny - mówi Ryszard.

- Sportowy sukces w Atlancie, to nie tylko ten srebrny medal, ale także finansowe premie należne medalistom. Czy już wiecie jak rozdysponować te pieniądze?

- Zbyt wiele miałem sportowych przeżyć i emocji, aby zastanawiać się, co zrobić z premią za medal. Nawet dokładnie nie wiem, ile tych pieniędzy otrzymam. Każdy indywidualny srebrny medalista ma dostać - zgodnie z ustalonym przed wyjazdem na igrzyska regulaminem - po 40 tys. złotych. W moim, drużynowym, przypadku ten medal ma nieco mniejszą wartość. Mogę chyba liczyć na 32 tys. złotych. Chyba zainwestuję te pieniądze, chociaż nie bardzo jeszcze wiem w co. Natomiast na pewno nie pójdą one na bieżącą konsumpcję. Na pewno zdecydujemy wspólnie, chociaż jeszcze o tym nie rozmawialiśmy. Dowiem się, czy Ania ma jakiś pomysł.

- Nie, nie mam teraz żadnego pomysłu, ale mogę zapewnić, że kiedy ty walczyłeś nawet przez myśl mi nie przeszło, aby przeliczać olimpijski start na pieniądze. A ponieważ jeszcze ich nie otrzymaliśmy, więc i nie musimy spieszyć się z decyzją co z nimi zrobić.



Sobczakowie



- Ostatnio sympatycy sportu w Gdańsku nie oglądali na żywo, walczącego Ryszarda Sobczaka. Może teraz coś się zmieni?

- To rzeczywiście dosyć dziwna sprawa, bo i ja już nie bardzo pamiętam, kiedy ostatnio w Gdańsku walczyli floreciści, chociaż AZS AWF Gdańsk regularnie zdobywa tytuły drużynowych mistrzów Polski, a ja byłem indywidualnym mistrzem Polski trzy razy z rzędu. Na pewno jednak w przyszłym roku odbędą się w Gdańsku mistrzostwa Europy i wówczas wystąpi cała nasza srebrna drużyna.

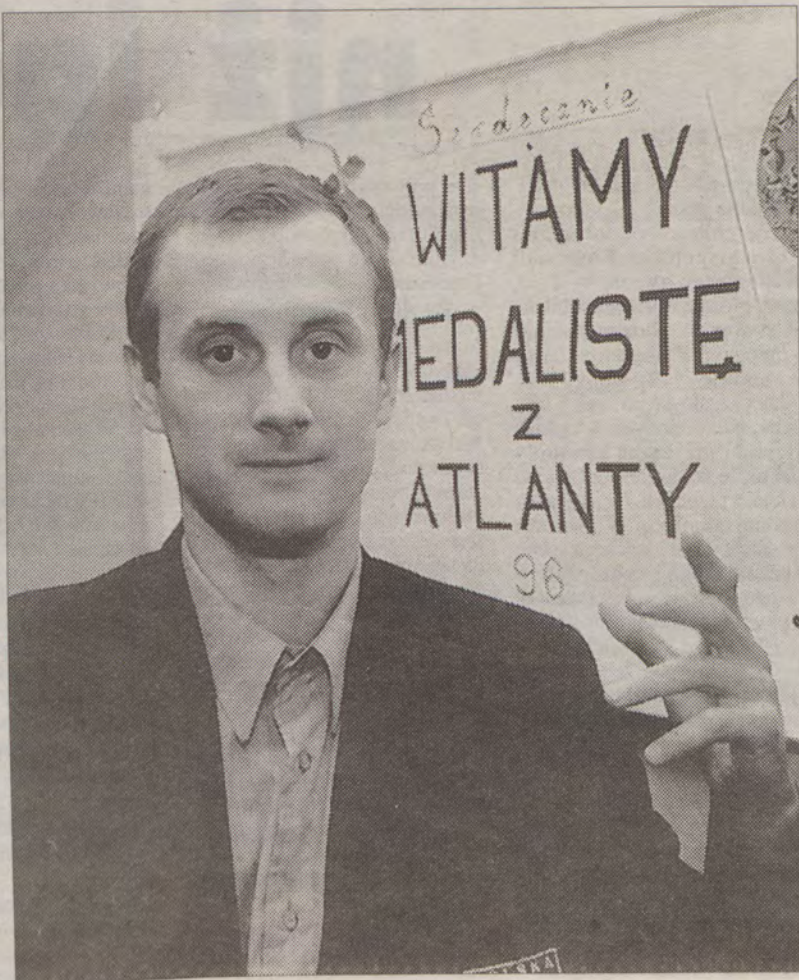
- Jeszcze cieszy się pan występem w Atlancie, a ja chciałbym wiedzieć, czy myślał pan już o następnych igrzyskach w Sydney. A może przed podjęciem takiej decyzji będzie potrzebna rodzinna narada?

- Na igrzyskach zdobyliśmy drużynowo brązowe medale w Barcelonie, srebrne w Atlancie, a na złote przyjdzie czas właśnie w Sydney. Nie zamierzam więc w najbliższym czasie żegnać się z floretem. Sądzę, że Ania zrozumie i zaakceptuje moją decyzję. Nie ukrywam, że uprawianie sportu to także mój pomysł na utrzymanie rodziny, a dzięki sukcesowi w Atlancie będzie to nadal możliwe.

- No i co ja mam powiedzieć? - śmieje się pani Ania. - Gdyby nie ten srebrny medal pewnie doszłoby do burzliwej rodzinnej narady. W tej sytuacji brakuje mi argumentów. Więc jeszcze potrudzę się wychowywaniem dzieci i prowadzeniem domu, niech Rysiek walczy. Oby tylko w Sydney zdobył złoty medal.

Adam Suska
Janusz Woźniak

Fot. Robert Kwiatek i PAP/CAF



Podobno, w czasach Gorbaczowa, gdy ten odwiedzał USA, CIA analizowała wodę, w której Gorbi kąpał się w swojej amerykańskiej rezydencji, a także analizowała to, co wypływało z jego ubikacji. Dziś tego już się nie robi, są inne metody.

„Newsweek”: Jak długo pożyją VIP-y?

Okno na świat

CIA nie lubi być zaskakiwana. Woli wszystko wiedzieć z pewnym wyprzedzeniem. Także - chce wiedzieć, jak czują się najważniejsi ludzie na świecie. Dlatego dysponuje specjalną komórką do spraw zdrowia VIP-ów (VIP Health Unit), w której skład wchodzi m.in. dwóch lekarzy i jeden fotograf.

Jak twierdzi „Newsweek”, dzięki podsłuchiowaniu rozmów Borysa Jelcyna z jego najbliższymi współpracownikami przed pierwszą turą wyborów, Amerykanie bardzo wcześnie zdali sobie sprawę z powagi kłopotów zdrowotnych rosyjskiego prezydenta. Część tych informacji przeciekła do prasy, co - między pierwszą, a drugą turą rosyjskiej elekcji - stało się powodem alarmujących publikacji na łamach „The Washington Post”. - Jelcyn to trudny przypadek do analizowania - przyznał nie tak dawno jeden z członków zespołu CIA ds. zdrowia VIP-ów. - Ustawicznie zażywa leki przeciwbólowe, co powoduje, iż jego twarz często jest opuchnięta. Nadal trudno też dociec, jak przyjmowane przez niego leki reagują z alkoholem. A tego Jelcyn spożywa naprawdę dużo - w czasie spotkania grupy G-7, w trakcie kolacji wypił 10 kieliszków wódki i wina, co jak na człowieka po dwóch zawałach jest osiągnięciem naprawdę niemałym.

Podobno, w czasach Gorbaczowa, gdy ten odwiedzał USA, CIA analizowała wodę, w której Gorbi kąpał się w swojej amerykańskiej rezydencji, a także analizowała to, co wypływało z jego ubikacji. Dziś tego już się nie robi, technika posunęła się do przodu. Obecnie najwięcej informacji CIA czerpie ze zdjęć śledzonych przez siebie znakomitości. Analizuje się setki ujęć, najczęściej w sporych powiększeniach. To właśnie tym sposobem agencja odkryła, iż król Fahd doznał wylewu krwi do mózgu (czego Saudyjczycy nigdy oficjalnie nie przyznali) oraz stwierdziła, iż równie interesujący ich Fidel Castro cierpi na poważne dolegliwości wątroby.

Według komórki CIA ds. zdrowia VIP-ów, dawno powinien już umrzeć chiński przywódca Teng Siao-ping. Zdaniem specjalistów ten przeszło 90-letni polityk utrzymywany jest przy życiu dzięki jakimś tajemniczemu sposobom starochińskiej medycyny. Na zdjęciach Tenga, które CIA udało się niedawno wykonać, wygląda on tak, jakby znajdował się już w stanie agonalnym. - W każdym innym kraju Teng Siao-ping dawno by już nie żył - przyznał niedawno jeden ze speców CIA.

Najważniejsze są jednak obserwacje dokonywane w czasie bezpośrednich spotkań polityków. Podobno jest to jeden z głównych powodów dlaczego Rosję przyjęto do grupy G-7... CIA analizuje też taśmy filmowe, jakie niektóre stacje telewizyjne jej odpłatnie udostępniają. Między innymi dlatego z taką niecierpliwością oczekiwana jest ceremonia zaprzysiężenia Jelcyna, która ma się odbyć 9 sierpnia. Rosyjski prezydent przez kilka godzin będzie wtedy narażony na wścibski wzrok specjalistów z CIA. Jakie będą wnioski, do których dojdą?

Roman Warszawski

Czy transport lotniczy rzeczywiście jest tak bezpieczny, jak powszechnie się twierdzi? Jakie są najczęstsze przyczyny awarii samolotów pasażerskich? Oto pytania pojawiające się znów na pierwszych stronach gazet po tragicznej katastrofie Jumbo Jeta amerykańskich linii lotniczych TWA.



Przed paru dniami wylowiono z Atlantyku części kadłuba Boeinga 747, który 18 lipca eksplodował wkrótce po starcie z Nowego Jorku i runął do wody.

Fot. CAF/PAP-AP

Dlaczego spadają samoloty

W latach 1984-1993 wydarzyły się 132 wypadki lotnicze z udziałem samolotów pasażerskich. Aż jedna czwarta z nich miała miejsce w Ameryce Łacińskiej, jedna piąta w Ameryce północnej, mniej więcej tyle samo w Europie zachodniej, 13 proc. w Afryce, 4 proc. w Europie wschodniej, a trochę więcej niż jedna ósma w rejonie Pacyfiku. Jednak transport lotniczy - statystycznie biorąc - nadal jest najbezpieczniejszym środkiem komunikacji. Problem wypadku jedynie na tym, że jeśli już dochodzi do awarii, wtedy szanse wyjścia z opresji są dużo mniejsze niż w przypadku wypadku samochodowego, czy wypadku na pełnym morzu.

Jak wynika ze statystyk, opublikowanych przez dziennik „USA Today”, do głównych przyczyn katastrof samolotów pasażerskich należą błędy przy naprowadzaniu samolotów w rejonie lotniska, zbyt duża automatyzacja kabiny pilotów, zamachy bombowe, awarie wynikające ze specyfiki przewożone-

go ładunku i bagażu, a dopiero na ostatnim miejscu - zawodność techniczna samolotów. Co może dziwić - często dochodzi do lotniczych katastrof tylko dlatego, że piloci nie potrafią porozumieć się z obsługą naziemną lotniska.

Dialog głuchych

Kwiecień 1996. Samolot American Airlines, lot 965 z Miami, podchodził do lądowania w miejscowości Cali w Kolumbii. Pogoda była mglista, podstawa chmur leżała niżej niż zwykle. Pilot nie był w stanie dostrzec punktów orientacyjnych, pomagających w odnalezieniu toru sprowadzającego go między dwoma pasmami gór wprost na płytę lotniska. Trzeba było polegać na kontrolerach lotu. Tu jednak pojawił się problem - mimo wielokrotnych pytań kontrolerzy jakby nie rozumieli, o co chodzi pilotowi. Między kokpitem a wieżą kontrolną przez kilka minut trwał dialog głuchych. W tym czasie samolot leciał pod trochę innym kątem niż powinien, a kontrolerzy jego kursu nie korygowali. Dialog

głuchych pewnie trwałby dalej, gdyby nie zboczyły góry, którą - pośród chmur - piloci ujrzeli w ostatniej chwili. Próbowali gwałtownego zwrotu w lewo, ale na próżno. Samolot odbił się od skalnego zbocza i runął w przepaść. Załoga i wszyscy pasażerowie - 159 osób - zginęli.

Jak okazało się po analizie zapisów, odnalezionych w czarnej skrzynce, przyczyną katastrofy było to, że kontrolerzy z Cali nie do końca rozumieli, o co pyta ich kapitan samolotu. W związku z nasileniem się lotniczego ruchu pasażerskiego, kontrolerzy w wielu częściach świata zamiast językiem angielskim, posługują się jakąś jego substandardową wersją. Szacuje się, że aż jedenaście procent wszystkich wypadków lotniczych spowodowanych jest językowymi nieporozumieniami. Zdaniem specjalistów, jedynym rozwiązaniem jest wprowadzenie specjalnych kursów językowych przeznaczonych dla pilotów i współpracujących z nimi służb naziemnych. „Lotniczy” angielski nie może być nauczanym na marginesie innych przedmiotów, musi stać się kur-

sem podstawowym, realizowanym według nieprzekraczalnych reguł opracowanych przez Międzynarodowe Stowarzyszenie Przewoźników Powietrznych.

Za dużo komputerów

Na drugim biegunie przyczyn katastrof lotniczych usytuować można... przerosł komputer. Dotyczy to głównie słynnych Airbusów. Miały to być samoloty niezawodne, w najwyższym stopniu nasycone nowoczesną technologią. Ich projektanci przez długi czas uważali, iż staną się one poważną konkurencją dla Boeingów, które - być może - któregoś dnia zostaną przez nie zdetrzonizowane.

Kłopoty z Airbusami zaczęły się jednak jeszcze w fazie prób. 21 września 1987 Airbus A 300 rozbił się w czasie lotu próbnego w okolicach Luksoru w Egipcie, co kosztowało życie pięćoosobową załogę. W czerwcu 1988 Airbus A 320, należący do Air France, rozbił się we Francji podczas pokazu lotniczego. Zginęły trzy osoby.

Potem rozpoczęła się prawdziwa czarna seria. Maszyna,

która miała się stać samolotem niezawodnym, praktycznie „niezatapialnym”, z wolna zaczęła budzić grozę zarówno wśród pilotów, jak i pasażerów. W lutym 1990 roku Airbus A 320, należący do Indian Airlines, rozbił się podczas lądowania w Bangalore. Spośród 146 pasażerów znajdujących się na pokładzie, zginęło 90. W styczniu 1992 Airbus tego samego typu, obsługujący francuskie linie Air Inter, rozbił się w Wogezech, co pociągnęło za sobą śmierć 87 osób. W lipcu tego samego roku Airbus tajlandzkich linii lotniczych ze 113 osobami na pokładzie roztrzaskał się w pobliżu Katmandu w Nepalu; nikt nie przeżył. Potem miało miejsce jeszcze siedem innych katastrof z udziałem tego typu samolotu (wśród nich wypadnięcie przez Airbusa Lufthansy z pasa w czasie lądowania w Warszawie we wrześniu 1993 - 54 rannych i 2 zabitych), w których łącznie zginęło 578 osób.

Zdaniem pilotów obsługujących Airbusy, winę za serię tych katastrof ponoszą... pokładowe komputery. Samoloty te bowiem

zostały tak skonstruowane, że komputer w czasie całego lotu wyręcza praktycznie człowieka. Posiada on również tak dziwne zabezpieczenia, iż w sytuacjach awaryjnych nie pozwala na interwencję pilotów. Komputer, posługując się własnym programem, blokuje wszystkie manewry wykonywane przez ludzi. Nadmiar skomputeryzowanej technologii doprowadza też często do takiej sytuacji, że elektroniczny mózg Airbusa popełnia błędy w interpretacji tego, co dzieje się na zewnątrz kabiny. Tak było właśnie w czasie lądowania w Warszawie. Powierzchnia pasa została dotknięta przez dwa, a nie cztery koła, to natomiast - zdaniem komputera - nie było prawdziwe lądowanie, przez co nie zostały uruchomione hamulce. W rezultacie - pas okazał się za krótki...

Trafione rakiety

W ostatnich 14 latach co najmniej dwukrotnie doszło do zestrzelenia samolotów pasażerskich przez rakiety. Pierwszy z tych incydentów miał miejsce w 1982 roku, nad Sachalinem,

Więcej startów niż lądowań

gdy „pasażer” linii południowo-koreańskich został strącony przez dwa radzieckie Migie. Sprawa ta stała się powodem wielkiego skandalu międzynarodowego. Rosjanie bronili się, iż samolot zboczył z wyznaczonego kursu i że istniało uzasadnione podejrzenie, iż filmuje on obiekty woj- skowe.

Drugi wypadek tego typu zdarzył się w 1988 roku, gdy nad Zatoką Perską, pociskiem wystrzelonym z amerykańskiego okrętu wojennego „Vincennes”, pomyłkowo strącony został irański Airbus (znowu!). Zginęło wtedy 290 osób. Również w przypadku ostatniej katastrofy Boeinga 747-100, przez moment istniało podejrzenie, iż został on trafiony pociskiem ziemia-powietrze. Na radarowym ekranie, tuż przed eksplozją, u jego boku pojawił się bowiem mały świetlisty punktik. Hipoteza ta została jednak szybko odrzucona.

Trefny ładunek

Maj 1996. Z lotniska w Miami o godzinie 14 startuje samolot DC 9 ekspansywnych, amerykańskich linii ValuJet. Ma lecieć do Atlanty, na jego pokładzie znajduje się 104 pasażerów i 5 członków załogi. Po 15 minutach lotu, gdy samolot znajduje się już na wysokości 4000 metrów, pilot wyczuwa zapach dymu w kokpicie i błyskawicznie decyduje się na powrót na lotnisko. Ma lecieć jednak już nie dolatuje. Samolot spada na mokrą łąkę parku narodowego Everglades. Maszyna tak głęboko wbija się w bagno, że po kilku chwilach nie ma już po niej śladu. Rozpoczyna się jedna z najtrudniejszych akcji poszukiwawczych w historii amerykańskiego transportu lotniczego. Nie chodzi w niej o ratowanie ludzi, o których od razu było wiadomo, że musieli zginąć, lecz o odnalezienie fragmentów samolotu i jego czarnych skrzynek, aby móc określić przyczynę nieszczęścia.

Konkurenci ValuJet skwapliwie podkreślali, że firma, zdobywająca pasażerów zaniżonymi cenami biletów, od dłuższego czasu ma poważne kłopoty z utrzymaniem swej floty w dobrym stanie technicznym. Przypominano, że w ciągu pierwszych sześciu miesięcy tego roku na pokładach jej samolotów wydarzyło się w sumie 7 incydentów, w których tylko dzięki szczęśliwym zbiegom okoliczności nie było rannych i zabitych. W Atlancie, na lotnisku, zapalił się jeden z silników w jej samolocie; w Savannah, po wylądowaniu, samolot ValuJet zjechał z pasa startowego, natomiast w Nashville - też po lądowaniu - doszło do zapalenia się podwozia.

ValuJet bronił się do upadłego przed tego rodzaju sugestiami, uważając że przyczyną katastrofy w Miami należy upatrywać w czymś całkiem innym. Między innymi dlatego firma tak aktywnie włączyła się do akcji poszukiwania szczątków rozbitego DC 9 na bagnach Everglades, co było o tyle utrudnione, że zagrożenie stanowiły tam rojące się wokół aligatory. Przełom w śledztwie nastąpił dopiero po odzyskaniu czarnej skrzynki. Okazało się, że do tragedii na pewno by nie doszło, gdyby nie przesyłka zawierająca pojemniki ze sprężonym tlenem, które nieodpowiednio zostały zabezpieczone przez obsługę naziemną. Jeden z nich, gdy samolot był już w powietrzu, eksplodował, co wywołało pożar. Płonąc, maszyna nie miała szans wylądować. Tym razem - inaczej niż w przypadku czarnej serii Airbusa - zwinął człowiek.

Roman Warszawski

Polskie lotnictwo cywilne

Boeingi zamiast Iłów

Obecnie Polska - o czym mało kto wie - ma najmłodszą na świecie flotę samolotów pasażerskich. Przeciętny wiek samolotów PLL Lot nie przekracza trzech lat i w stu procentach są to maszyny koncernu Boeing (767 i 737) oraz francuskiej firmy Aerospatiale. Iły i Tupolewy pozostały wspomnieniem. Jednak powiedzenie „Lataj Ilem, będziesz pyłem” miało swoje tragiczne uzasadnienie.

W dwóch katastrofach polskich Iłów załoga nie popełniła żadnego błędu. Więcej - dzięki przytomności pilotów nie ucierpiał nikt z tysięcy ludzi, zamieszkałych wokół lotniska na Okęciu.

Katastrofa

„Mikołaja Kopernika”...

„14 marca 1980 roku o godzinie 11.30 rozpoczęło się schodzenie do lądowania (czytamy w raporcie specjalnej komisji badającej przyczynę wypadku). Siedemdziesiąt sekund przed przewidzianym lądowaniem kapitan postanowił powtórzyć manewr w celu sprawdzenia działania urządzeń sygnalizacyjnych (lampka kontrolna podwozia wskazywała, że nie zostało ono wyszczeszczone). Podczas wkręcanego z manewrem zwiększenia ciągu silników, nastąpiło zniszczenie lewej turbiny na skutek wad materiałowo-technologicznych, które doprowadziły do przedwczesnego zmęczenia jego wału”.

Tyle lakonicznej relacji ekspertów technicznych. Przedstawiając bardziej obrazowo to, co się stało, wystarczy powiedzieć, że uszkodzona turbina zaczęła z olbrzymią siłą wyrzucać z wnętrza silnika jego szczątki. Kawałki metalu niczym pociski „posiekały” drugi i trzeci silnik oraz kadłub, niszcząc przy okazji biegnące w pobliżu przewody sterowania. W jednej chwili 180-tonowy samolot stracił trzy z czterech silników oraz ster wysokości i kierunku.

Dysponując jedną turbiną i możliwością sterowania za pomocą wychylenia lotek na skrzydłach, załoga zdążyła jeszcze ukierunkować tor lotu tak, że zderzenie maszyny z ziemią nastąpiło w terenie niezabudowanym. Cały dramat rozegrał się w ciągu 26 sekund. Wybuch rozrucił szczątki maszyny i 87 pasażerów po rozległym terenie podwarszawskich fortów. Nikt nie pozostał przy życiu.

Eksperti, badający przyczynę wypadku, poddali drobiazgowym badaniom to, co zostało z Iła 62. Stwierdzono, że materiał, z którego wykonany był wał silnika, nie ma nic wspólnego z obowiązującymi w lotnictwie normami technologicznymi, a jego obróbka w fabryce była niezgodna z rysunkami technicznymi! Według planów, miejsce, w którym wał ulegał zwichnięciu, powinno posiadać łagodne zaokrąglenie, gdy tymczasem radzieccy tokarze wykończyli wał inaczej.

Charakterystyczna dla „minionych czasów” była postawa producenta. Rosjanie stwierdzili bowiem już na wstępie swojej ekspertyzy, że miejsce rozbicia się samolotu na fortach, a nie na zabudowanym przedłużeniu pasa startowego było wynikiem... podmuchu wiatru, nie zaś rozpaczliwych wysiłków pilota, jak to wynikało z zapisu czarnej skrzynki.

O oficjalnym przyznaniu się do wadliwej konstrukcji nie mogło być mowy.

...i „Tadeusza Kościuszki”

Kiedy pięć lat temu rozmawiałem z oficerem, znającym wiele szczegółów tragedii, zastrzegł sobie anonimowość. Oto relacja mojego rozmówcy: „Była niedziela 9 maja 1987 roku. W trybie alarmowym poderwano w powietrze grupę śmigłowców transportowych z mojej jednostki. Mielśmy lecieć w re-

jon Grudziądza. Na miejscu okazało się, że naszym zadaniem jest przeszukiwanie okolicznych terenów w poszukiwaniu... szczątków pochodzących z rozbitego samolotu pasażerskiego.

Na polach pod Grudziądzem porzucane były jednak nie kawałki maszyny, tylko osobiste rzeczy i bagaż pasażerów. Walizki, ubrania, elementy foteli - wszystko to wypełniło ładownie naszych helikopterów. W czasie akcji dowiedzieliśmy się, że spadł kolejny Ił 62. Wiedzieliśmy tylko, że samolot pół godziny wcześniej wystartował do lotu transatlantyckiego na trasie Warszawa - Nowy Jork. Na temat okoliczności katastrofy mogliśmy jedynie snuć domysły.”

Mój rozmówca wysnuł wówczas przypuszczenie, że kadłub Iła musiał zostać rozerwany w powietrzu i na skutek podciśnienia przedmioty z kabiny pasażerskiej oraz luków bagażowych zostały dosłownie wysane na zewnątrz. Nie wiadomo było tylko, co stało się z ludźmi.

Prawdę o katastrofie oraz dokładny, co do minuty, przebieg wydarzeń ujawniono dopiero na początku lat dziewięćdziesiątych. Wkrótce po starcie z Okęcia, około godziny 10, nagle wzrosła temperatura w jednym z czterech silników Iła 62. Przyczyną było zatarcie łożyska, a wzrost temperatury okazał się tak gwałtowny, że piloci nie zdążyli nawet wyłączyć niesprawnej turbiny. Przy prędkości ok. 900 km/h, na wysokości około 8 kilometrów nad Grudziądzem, silnik rozerwał się i - podobnie jak w poprzednim wypadku - zniszczył kadłub, unieruchomił stery oraz wywołał pożar

w kabine ładunkowej. Wtedy właśnie dekompresja wysysała bagaż przez wyrwę w kadłubie. Na pokładzie wybuchła panika (później wśród szczątków na miejscu katastrofy, znaleziono w rękach niektórych ofiar książeczki do nabożeństwa).

Piloci zdołali mimo wszystko maszynę ustabilizować, zawrócić do Warszawy i zmniejszyć wysokość. Niewiele brakowało, by uratowali samolot i 183 pasażerów. Byli już na tzw. podejściu do pasa lotniskowego Okęcia i sterując lotkami oraz ocalałym trymerem, przymierzali się do posadzenia prawie dwustatonowej maszyny z dwoma niepracującymi silnikami na jego krańcu. Zapis ostatnich sekund lotu i korespondencja radiowa zachowały się na taśmach magnetycznych czarnej skrzynki: nieudana próba wyrównania lotu po tym, jak podmuch wiatru wytrącił Iła z osi lądowania, krzyk kapitana (Jezus Maria, to już koniec!) i zaraz potem wybuch po zderzeniu z ziemią. Zginęli wszyscy pasażerowie i załoga.

Koniec Iłów

W obu katastrofach zginęło 270 osób. Przyczyny za każdym razem były podobne. Mimo że jasne stało się, iż Ił 62 nie jest samolotem bezpiecznym, na koniec kariery tych maszyn w PLL Lot trzeba było jeszcze poczekać. Dopiero w 1990 roku, po pożegnaniu z centralnie planowaną gospodarką, RWP i barierami pomiędzy Wschodem a Zachodem udało się zastąpić rosyjską flotę powietrzną amerykańskimi maszynami Boeing oraz francuskimi samolotami turbośmigłowymi ATR 72 200. Iły i Tupolewy przez długi czas obrastały trawą na betonowych stoiskach warszawskiego lotniska, aż w końcu udało się większość z nich sprzedać Ukraińskim Liniom Lotniczym.

Tomasz Zajac

Najgroźniejsze katastrofy lotnicze

Maj 1972 - katastrofa samolotu Ił 62 wschodniemieckich linii „Interflug” w Berlinie, w której ginie 156 osób.

Marzec 1980 - katastrofa samolotu Ił 62 polskich linii lotniczych Lot pod Warszawą, w której ginie 87 osób.

Lipiec 1988 - dwa Boeingi 747 zderzają się w Las Palmas na lotnisku, co powoduje śmierć 615 osób.

Maj 1987 - katastrofa samolotu Ił 62 Polskich Linii Lotniczych Lot w Warszawie, w której ginie 187 osób.

Lipiec 1988 - Airbus A 320 irańskich linii lotniczych zostaje pomyłkowo zestrzelony przez rakietę odpaloną z amerykańskiego okrętu wojennego, co kosztuje życie 290 osób.

Grudzień 1989 - Boeing 747 linii PanAm eksploduje nad szkocką miejscowością Lockerbie; ginie 282 osób.

Maj 1991 - Boeing 767 rozbija się nad Tajlandią, śmierć ponoszą 233 osoby.

Wrzesień 1992 - katastrofa Airbusa A 300 pakistańskich linii lotniczych pod Katmandu w Nepalu, w której ginie 167 osób.

Kwiecień 1994 - katastrofa Airbusa A 300 taiwańskich linii lotniczych w Nagoji w Japonii, w której ginie 264 osób.

Grudzień 1994 - katastrofa samolotu ATR 72 amerykańskich linii NordWest w Chicago, w której ginie 68 osób.

Kwiecień 1996 - katastrofa samolotu DC 9 tureckich linii lotniczych na Haiti, w której ginie 108 osób.

Maj 1996 - katastrofa samolotu DC 9 amerykańskich linii ValuJet w Miami, w której ginie 110 osób.

Lipiec 1996 - eksplozja Boeinga 747 linii TWA u wybrzeży Long Island; ginie 230 osób.

Średnio, co roku, w katastrofach lotniczych ginie 800 osób. W ciągu pierwszych 7 miesięcy tego roku w wypadkach lotniczych zginęło już 500 osób.



14 marca 1980 r. Po katastrofie Iła 62 pod Warszawą, w której śmierć poniosło 87 osób. Cały dramat rozegrał się w ciągu 26 sekund.

Fot. PAPICAF



Jest 2 sierpnia 1996.

Za rok - obchody
jubileuszu 1000-lecia
Gdańska będą na
półmetku.

1000 lat... Taki
jubileusz - to wspaniała
okazja
rozreklamowania
miasta. To szansa na
większy prestiż i...
szansa na biznes. Czy
Gdańsk wykorzysta
obie?

VUE DE DANZIG



*Prospect des grünen Thors von der West Seite
nebst einem Theil des langen Marckts zu
Danzig.*

*Vue de la Porte verte
dentale avec une Parthie
a Danzig.*

1000 LAT

Przygotowania trwają od dawna - i to jest optymistyczne. To różni Gdańsk od kilku innych polskich miast, z mizernym skutkiem obchodzących ostatnio swe jubileusze. Z drugiej strony - niewiele jest w oficjalnym programie imprez ekscytujących tłumy. Czy uda się więc zwabić do miasta zastępy turystów?

Dzisiaj przybliżamy kilka z zapowiadanych przedsięwzięć, które przez swą oryginalność lub też otwarty charakter mogą być ozdobą milenijnych uroczystości. Pamiętajmy jednak, że prócz tych, ujętych w oficjalnym programie - jest też mnóstwo imprez towarzyszących, z których o kilkunastu co najmniej powinno być głośno.

Dla gdańszczan równie, jeśli nie bardziej istotne jest pytanie o to, co też po hucznych obchodach pozostanie. I na to staramy się tu znaleźć odpowiedź.

Zapewne, jak to w życiu, nie wszystkie plany się spełnią. Zapewne też nadal trudno będzie oddzielić obchody milenium od doraźnych zawirowań w polityce. Warto jednak za powodzenie imprezy trzymać mocno kciuki; czyniąc to, trzymamy je za siebie.

Jak robią to inni?

Z inicjatywy Komisji Unii Europejskiej, od 15 lat, rocznie inne miasto kontynentu zostaje obdarzone mianem kulturalnej stolicy kontynentu. Gdańsk, mimo wcześniejszych przymiarek, na przyszły rok nie otrzyma tego zaszczytnego miana. Jednak skala związanych z takim honorem przedsięwzięć na pewno jest porównywalna z obchodami gdańskiego milenium.

W tym roku kulturalnym centrum kontynentu jest Kopenhaga. Miasto przygotowywało się do tego przez dwa lata. Patronat nad obchodami

przejęła królowa duńska i - by wszystko odbyło się zgodnie ze światowymi standardami - do życia powołano w pełni profesjonalny komitet składający się nie z politycznych osobistości, lecz z osób doświadczonych w dziedzinie zarządzania.

W sezonie letnim Kopenhaga gości (i będzie gościć) 171 specjalnych imprez, wśród których znajdują się wystawy, koncerty, festiwale, najróżniejsze pokazy i degustacje. Stolicę Danii odwiedzi m. in. orkiestra symfoniczna z dalekiego Tokio, grupa egzotycznych zespołów afrykańskich, amerykańscy mistrzowie jazzu klasycznego i twórcy nowoczesnej sztuki interaktywnej. Nie zabraknie też naukowych sympozjów, takich jak „Sztuka bi-

zantyńska”, „Władza i wiedza”, czy „Skandynawscy odkrywcy”, na którym swój udział zapowiedział m. in., słynny norweski podróżnik, Thor Heyerdahl. Swój przyjazd do Kopenhagi zapowiedzieli również Salman Rushdie, Umberto Eco i Tom Clancy. W ciągu całego lata nie będzie też jednego tygodnia, w czasie którego do duńskiej stolicy nie zawitałaby jakaś grupa rockowa o autentycznie światowej sławie. Zarząd miasta w lipcu i sierpniu postanowił też hojną ręką dotować ceny duńskiego piwa, co w dłuższej perspektywie ma naruszyć dominację piw niemieckich, które - mimo tradycji Tuborga - nadal niepodzielnie panują na duńskim rynku.

Inne miasta, które w poprzednich sezonach były kulturalnymi stolicami Europy, nie zawsze postępowały w ten sposób. Ateny postawiły na historyczne dziedzictwo. Antwerpia skupiła się na swoich zamorskich kontaktach a Edynburg - na szkockiej tradycji rycerskiej. Jak widać, sztywnych reguł nie ma, wiele zależy od inwencji i ogólnej koncepcji, którą organizatorzy przyjmują z pełnym rozmysłem. Najważniejsze jednak, żeby taka koncepcja była.

Najbardziej biernie podszedł do sprawy Paryż, którego władze wyszły z założenia, że miasto nad Sekwaną już z definicji jest kulturalną stolicą świata, a tym bardziej taką stolicą Europy. Właśnie dlatego go ograniczono się tam tylko



do uroczystej inauguracji oraz zakończenia całorocznych, kulturalnych obchodów. Ich właściwą treść stanowiło to, co w Paryżu ma miejsce co roku, bez jakiegos specjalnego planowania i reżyserowania. Żadna inna z europejskich stolic kultury nie odważyła się na coś takiego; na taką ekstrawagancję pozwolił sobie mógł tylko Paryż.

Festiwal Tysiąca

W dniach od 9 do 15 września 1997 roku Państwowa Filharmonia Bałtycka i Nadbałtyckie Centrum Kultury organizują wielkie święto muzyki pod nazwą Festiwal Tysiąca.

Cały Długi Targ oraz ulica Długa przeistoczy się w tym czasie w wielką filharmonię pod gołym niebem. Przy Zielonej Bramie powstanie estrada dla wykonawców. Przez cały tydzień pięknej klasycznej muzyki słuchać będzie można spacerując ulicami Głównego Miasta.

Kulminacyjnym momentem festiwalu będzie wykonanie wielkiego dzieła Gustawa Mahlera - VIII Symfonii. Wystąpią soliści: Barbara Zagórzanka, Izabella Kłosińska, Dorota Radomska, Jadwiga

Rappe, Ewa Marciniak, Andrzej Dobber i Piotr Nowacki. Grać będą orkiestry: Filharmonii Bałtyckiej, z Lubeki, z Helsinek, z Turku, z Wilna, zaśpiewają chóry: Opery Narodowej z Estonii, Filharmonii Łódzkiej i „Lege Artis” Liceum Muzycznego z Gdańska. Trwają jeszcze rozmowy z dyrygentami, dzieło najprawdopodobniej poprowadzi jeden z dwóch mistrzów batuty: Wojciech Michniewski lub Zygmunt Rychert. W sumie na estradzie znajdzie się tego wieczoru aż tysiąc wykonawców!

Od 9 do 11 września na estradzie przy Długim Targu oraz we wnętrzu Kościoła św. Jana odbywać się będą koncerty kameralne w wykonaniu wszystkich po kolei uczestników koncertu kulminacyjnego. Każdy koncert mieć będzie inny program, miłośnicy różnego rodzaju muzyki będą więc mogli znaleźć coś odpowiedniego dla siebie. Od 12 września wszyscy muzycy przystąpią do wspólnej pracy nad dziełem Mahlera, które zamknie festiwal w niedzielne popołudnie.

Kajakami do Guinnessa

Ta impreza już trwa! Ogólnopolski Gwiazdzisty Spływ Kajakowy Wisłą i Dopływami na 1000-lecie Gdańska ruszył 1 czerwca, kiedy to dwójce pierwszych uczestników zwoowało swój kajak na Sanie w Przemyślu. Przez najbliższy rok każdy, w każdej chwili i w dowolnym miejscu może się do spływu włączyć.

Zasada jest prosta. Płynąć można w dowolnym terminie, na dowolnym odcinku i dowolnej trasie. Samotnie lub w większej grupie. Ważne, by przebywaną trasę udokumentować oraz aby za rok, 21 lipca, znaleźć się w Tczewie. Tam rozpocznie się finał imprezy. Stamtąd kajakowa armada popłynie już wspólnie - aż do Gdańska.

- Złot w Tczewie, a potem? - pytamy Anrzejka Michalczyka, szefa gdańskich kajakarzy zrzeszonych w PTTK, inicjatora i komandora spływu.

- Płyniemy do Przegaliny. A następny biwak - już w Gdańsku. Tam, po przepłynięciu Motławy przez Główne

Miasto, wylądujemy na Olśzynie. Na tzw. Opłowie Motławy, dziś jeszcze zaniedbanym, - ma powstać teren rekreacyjny, prawdziwe gdańskie błonia. Myślę, że naszym pobytem przyczynimy się do rychłego powstania planowanych tam przystani, wypożyczalni wodniackiego sprzętu, kąpielisk. Podczas tygodniowego biwaku odbędzie się mnóstwo imprez: w sumie będzie to wielkie wodniackie święto. Jego kulminacją będzie parada kilkuset kajaków w samym centrum Gdańska.

- Podobno jest szansa na rekord.

- Miejsce w Księdze Guinnessa zagwarantuje nam udział ponad 660 kajaków. Zważywszy obecne zainteresowanie - jest to realne. Nie chodzi jednak o rekordy; chodzi o wielką krajoznawczą przygodę.

- Spływ ma charakter międzynarodowy.

- Jest ujęty w oficjalnym kalendarzu imprez ICF - Inter-

national Canoe Federation. Są pierwsze zgłoszenia. Na razie - od rodaków z Anglii i grupy Holendrów. Około 40 gości z kraju tulipanów chciałoby w przyszłym roku przepłynąć całą Wisłę. Prowadzimy intensywną akcję promocyjną, nawet za oceanem.

Dodajmy, że już teraz niemal wszystko zapięte jest na ostatni guzik. Ba - wśród organizatorów milenijnych imprez kajakarzy mają opinię prymusów: sprawnych i przedsiębiorczych. O ich przedsiębiorczości świadczy m.in. kilkaset cennych nagród, jakie już czekają na zwycięzców licznych, przewidzianych w programie spływu konkurencji.

Karty zgłoszeń, wraz z regulaminem imprezy dostępne są w oddziałach PTTK. Wszelkie, dotyczące jej, informacje uzyskać można pod numerami telefonów: 48-53-13, 31-91-51 i 31-13-43.

Dokończenie na str. 14-15



Kalendarz obchodów

Kwiecień

- 5-6 Europejski Dzień Wojciechowy w Gdańsku
- 18 Uroczysta Sesja Rady Miasta - oficjalne rozpoczęcie obchodów
- 21 Konferencja naukowa. Nierzyskokatolickie Kościoły i Grupy Wyznaniowe w Gdańsku w latach 1945-1995 oraz ich wkład do rozwoju regionu gdańskiego
- 22/IV - 31/V Wystawa: Święty Wojciech w ikonografii i piśmiennictwie
- 23 Sesja naukowa Gdańsk w gospodarce i kulturze europejskiej

Maj

- 2/V 31/VIII Wystawa: Aurea Porta Rzeczypospolitej
- 3 Otwarcie stałej wystawy 1000 lat Gdańska w świetle wykopalisk
- 5-25 III Ogólnopolska Olimpiada Młodzieży w sportach halowych
- 8-10 Konferencja Muzykologiczna Musica Baltica - Gdańsk a kultura muzyczna Europy
- 10 Regaty Waterbike '97

Czerwiec

- 5-8 Puchar 1000-lecia Gdańska w klasach olimpijskich i przygotowawczych
- 18-21 Wystawa pomorska
- 20 Koncert Inauguracyjny Międzynarodowego Festiwalu Organowego
- 22/VI-12/VII Wiślany Flis do Gdańska 997-1997
- 23-26 Międzynarodowy zlot jachtów z okazji 1000-lecia Gdańska
- 26-29 Zjazd Nowej Hanzы

Lipiec

- 1-31 Ogólnopolski Gwiazdzisty Spływ Kajakowy Wisłą i Jej Dopływami na 1000-lecie Gdańska
- 1-31 Festiwal Malarstwa Monumentalnego
- 3-13 Żeglarskie Mistrzostwa Świata w Klasie Finn - Złoty Puchar Finna
- 5-26 Jarmark rzemieślniczy
- 5-6 Goldwasser Festiwal
- 5-13 Międzynarodowy Festiwal Teatrów Plenerowych i Ulicznych
- 17-20 Międzynarodowe Akademickie Regaty o Puchar 1000-lecia Gdańska w klasie Hobie-Cat - Katamarany
- 26 Międzynarodowy Mityng Lekkoatletyczny - XXV Memoriał im. J. Zylewicza
- 26/VII-2/VIII Międzynarodowy Zlot Harcerzy i Skautów z basenu Morza Bałtyckiego

Sierpień

- 1-31 Spektakle Community Play
- 2-16 Europejski Jarmark Świętego Dominika
- 2 IV Międzynarodowy Bieg Świętego Dominika
- 2-9 Gdańskie Dni Szekspirowskie
- 15 Maraton Solidarności
- 16 Stół 1000-lecia
- 16-17 Pokaz Współczesnych Sportów Motorowodnych
- 20-22 Gdański Festiwal Piosenki Morskiej
- 21-25 Zlot Żaglowców Sail Gdańsk '97
- 30-31 Motocrossowe Eliminacje do Mistrzostw Świata w klasie 250cc

Wrzesień

- 1 Festyn Młodzieży Szkolnej
- 1-7 Międzynarodowe Spotkania Młodzieży
- 1-8 Gdańsk Miasto Otwarte
- 12-13 Konferencja Generalna Związku Miast Bałtyckich
- 14 Festiwal Tysiąca
- 24-27 VIII Międzynarodowe Sympozjum: Łódzie i Statki w Archelogii.

Październik

- 17-18 Międzynarodowa Konferencja Maritime Transport and Economik Reconstruction
- 31 Prawykonanie Utworu Krzysztofa Pendereckiego - Oficjalne zakończenie obchodów.



Fot. Bogusław Nieznalski

Maria Kowalewska-Koska sekretarz generalny Komitetu Organizacyjnego Obchodów Tysiąclecia

- Czy emocje wokół zgłoszonej przez część radnych inicjatywy usunięcia z Krajowego Komitetu Honorowego Obchodów Tysiąclecia prezydenta i premiera nie odbijają się w jakiś sposób na przygotowaniach?

- Mogą. Jest do wyobrażenia, że znajdą się sponsorzy, którzy w obliczu tych przepychanek dwa razy się zastanowią, zanim sięgną po pieniądze. Nie można też wykluczyć, że wielu oficjalnych gości może odstąpić od wizyty refleksja, że być może nie o święto tu chodzi, lecz o politykę. Warto się zastanowić, czego właściwie chcemy. Takie wydarzenia odbywać się powinny ponad podziałami. Rozumiem emocje - trzeba jednak umieć je powściągnąć, unikać pustych gestów wówczas gdy chodzi o nasz wspólny, gdański „biznes”.

- Czy były jakieś reakcje, dajmy na to, z kancelarii prezydenta?
- Wygląda na to, że trwa wyczekiwanie na rozwój sytuacji.
- Rozmawialiśmy ostatnio w kwietniu. Co, w ciągu trzech miesięcy, wokół milenium się zmieniło?
- Wydaje mi się, że z każdym miesiącem mieszkańcy Gdańska czują coraz bardziej, że w związku z tysiącleciem zmienia się coś w mieście. Ot, choćby ten ruch przy remontach jezdni. Takich faktów będzie przybywać; tym samym rodzi się ta, nieco odświętna atmosfera, towarzysząca z reguły przygotowaniom do wydarzeń niecodziennych.

Zmienia się też - na korzyść - nasza sytuacja finansowa. Dopisują sponsorzy, zarabiamy też nieźle na prawach do milenijnego logo. Pieniądzy na organizację obchodów nie powinno zabraknąć.

- Czy dzięki temu możemy liczyć na nadzwyczajne hity? „Na superimprezy potrzeba supersrodków” - mówiła pani w kwietniu...

- Do jesieni będziemy wiedzieć, ile wydamy na rzeczy niezbędne. Potem będziemy finalizować dodatkowe atrakcje. Jakże? Jeszcze nie powiem. Ważne, by zainteresowały elektroniczne media. To często warunek organizacyjnego powodzenia.

- A na razie - nie milkną głosy, że przygotowujecie imprezę nazbyt prowincjonalną... Nie ściąganie turystów.

- Nie utoniemy w lokalności. To na pewno. Atrakcji nie zabraknie; szkopuł w tym, że nie brak takich, co to koniecznie muszą się sfotografować z koronowaną głową.

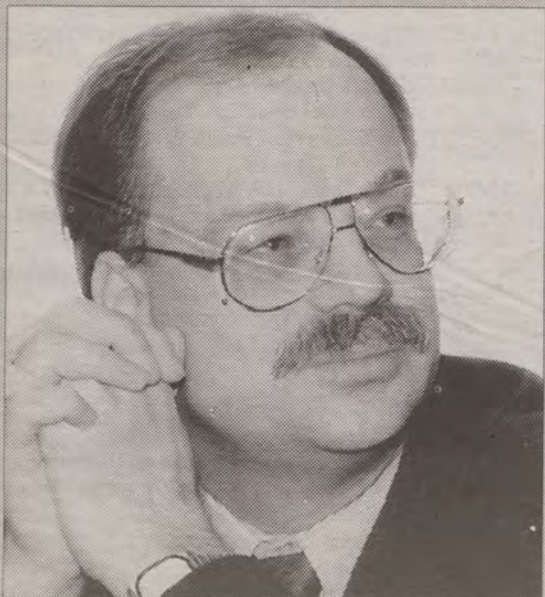
- Czy to jest wykluczone?

- Ależ nie. Znajdujemy się w delikatnej fazie organizacyjnej, dlatego o nazwiskach porozmawiamy innym razem.

- Pamiętaj, jak już wiemy, nie przyjedzie jednak...

- Będzie tu przecież tyle że nieco później. W jakimś sensie przedłuży to świętowanie milenium.

Zanotował: Janusz Czerwiński



Fot. Robert Kwiatek

Tomasz Posadzki prezydent Gdańska

- Będzie to szczególny moment dla miasta. Po okresie „Solidarności” i po roku 1989 następna szansa tak skutecznego wypromowania Gdańska w Europie i w świecie nieprędko się powtórzy. Bardzo nam zależy, by to odpowiednio wykorzystać.

- Słyszysz się jednak głosy, że okazja jest marnotrawiona...

- Moim zdaniem nie mają racji ci, którzy uważają, że nasze milenium może zostać tak wypromowane, jak olimpiada, czy Expo. Nadanie naszej rocznicy takiej rangi jest nierealne. Powinniśmy zdać sobie sprawę z tego, że co roku w Europie i w świecie wiele jest rocznic porównywalnych z tym, co będziemy świętować w Gdańsku. Inni - pod tym względem - wcale nie są gorsi, nie wszyscy to jednak dostrzegamy. W 1997 roku swoją rocznicę obchodzi Kalmar

i Moskwa, Trondheim, dawna stolica Norwegii również będzie miała 1000 lat, w tym roku swoje tysiąclecie świętowała cała Austria. A przykładów tych jest znacznie więcej. Nie jesteśmy pępkiem świata, nie jest też tak, że wszyscy na nas patrzą. Na pewno jest to jednak bardzo dobry moment, by miasto nasze skutecznie promować.

- A nie obawia się pan, że niezależnie od tego, jak obchody wypadną, będą one krytykowane?

- Zapewne tak będzie. Dlatego od początku mówiłem, że nikt nie powinien spodziewać się, że dysponujemy dziesiątkami milionów nowych złotych i że w ciągu dwóch lat uda nam się odmienić miasto. Możemy jednak - z myślą o milenium - dokonać wielu remontów i takich inwestycji, które w czasie obchodów będą wykorzystane, a które później pozostaną i będą służyć mieszkańcom. Dzięki temu, ludzie którzy odwiedzają nas na tysiąclecie powinni dojść do wniosku, że warto tu przyjeżdżać częściej, a biznesmeni powinni wyjechać z Gdańska z silnym przeświadczeniem, że opłaca się zainwestować u nas pieniądze.

- Podobno przy okazji milenium ma dojść do odrodzenia tradycji hanzeatyckiej...

- Dokładniej mówiąc, tradycja ta żyje od kilku lat. W roku tysiąclecia w Gdańsku ma dojść do dorocznej sesji Nowej Hanzy, organizacji, która skupia około setki miast z basenu Bałtyku i Morza Północnego. W roku przyszłym, hanzeatyckie spotkanie ma się odbyć pod hasłem „Hanza inwestuje w Hanzę”, czyli - zajmować się będziemy przede wszystkim zagadnieniami gospodarczymi. W czasie tegorocznych hanzeatyckich obchodów w Bergen obecnych było sto miast; jestem pewny, że za rok, w Gdańsku, w dniach między 26 a 29 czerwca będzie ich jeszcze więcej.

Zanotował: Roman Warszewski

10000



Dokończenie ze str. 13

Milenijny Dominik

- Jarmark św. Dominika w roku milenium musi nabrać szczególnego znaczenia - mówi Tomasz Bedyński, kierownik artystyczny imprezy. - Konieczna będzie odpowiednia oprawa, stworzenie atmosfery wielkiego święta.

Nie wiadomo jeszcze, co konkretnie złoży się na milenijny jarmark. Próba generalną ma być tegoroczna impreza. Te jej elementy, które wypadną najlepiej i spotkają się nie tylko z akceptacją, ale i największym zainteresowaniem mieszkańców Gdańska, zostaną wpisane do kalendarza przyszłorocznych jarmarkowych imprez.

- Do „przetestowania” w tym roku mamy w sumie 460 godzin bardzo różnorodnego programu:

25 festiwali, 326 imprez - mówi Tomasz Bedyński.

Program tegorocznego Jarmarku św. Dominika ma podkreślać związki Gdańska z Polską. Stąd pomysł ekspozycji polskich miast, które w tym roku obchodzą swoje jubileusze, na przykład Elbląga.

- W przyszłym roku skoncentrujemy się na kontaktach grodu nad Motławą z miastami europejskimi, a zwłaszcza tymi, które leżą nad Bałtykiem - mówi Tomasz Bedyński. - Swoje stoiska zaprezentują między innymi miasta siostrzane Gdańska.

Miejscem o szczególnym znaczeniu dla przyszłorocznego jarmarku ma być Dwór Artusa. Zdaniem Tomasza Bedyńskiego, doskonale podkreśli to wielowiekowe związki Gdańska z Europą.

- Takie dwory powstawały w wielu europejskich miastach - wszędzie tam, gdzie mieszczaństwo odczuwało potrzebę gromadzenia się, wspólnego działania i zabawy - mówi. - Naszym zamiarem jest przedstawienie historii „okrągłego stołu” - od kręgu rycerzy króla Artura aż do współczesnego okrągłego stołu, z którego dzisiaj korzystają przeważnie politycy.

Stół 1000-lecia

Stół 1000-lecia ma być jedną z największych atrakcji obchodów milenium Gdańska - przygotowawaną specjalnie z myślą o mieszkańcach miasta. 16 sierpnia, na zakończenie Jarmar-

ku Świętego Dominika, zastawiony jadłem i napitkami przez gdańskich restauratorów stół stanie na ul. Długiej i Długim Targu. Ciągnąć się będzie po królewsku: od Złotej do Zielonej Bramy. Degustacja wszelkich smakowitości - bezpłatna.

Za to gigantyczne przedsięwzięcie odpowiada Stowarzyszenie Restauratorów Gdańskich.

- Każdy ze stołów przygotowany będzie przez inny zakład - mówi Henryk Lewandowski, prezes stowarzyszenia. - To doskonała okazja, by zareklamować swoją firmę. Smakołykami częstować będą nie tylko restauratorzy, ale również piekarze, producenci napojów i wędlin.

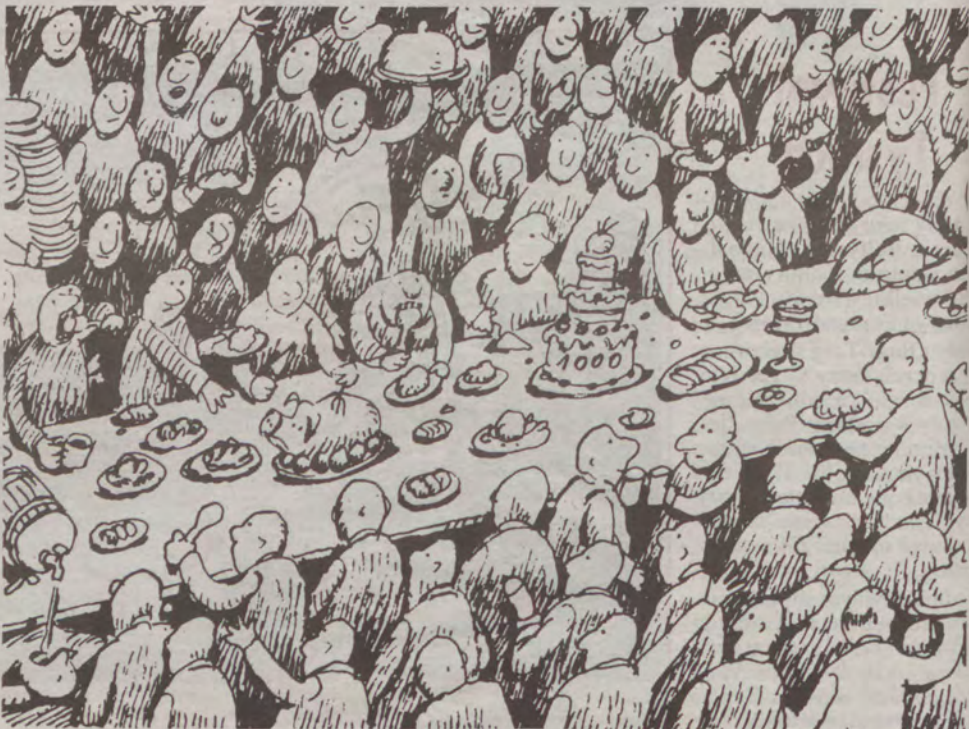
Nie wiadomo, jakie koszty poniosą restauratorzy i producenci oferujący swoje specjalności na stole 1000-lecia.

- Przybliżoną kwotę będzie można ustalić dopiero po zakończeniu imprezy - uważa prezes Lewandowski. - O ile restauratorzy będą chcieli pochwalić się, ile kosztowało ich przygotowanie potraw do degustacji.

Przejsie między stołami będzie utrudnione. Jeśli ktoś dostanie się na ul. Długą z prawej strony, na lewą będzie mógł przejść prawdopodobnie dopiero przy Zielonej Bramie.

Uczcie celebrować będą urodziwe kelnerki i przystojni kelnerzy w tradycyjnych gdańskich strojach. Oni również zadbają o porządek przy stołach. Czy uda im się „okiełznać” ogromny zapewne tłum?

- Nie planujemy zatrudnienia dodatkowej ochrony - mamy nadzieję, że nie będzie potrzebna - twierdzi prezes Lewandowski. - Wystarczy, że chętni do degu-



LAT

stacji ustawia się w kolejkach, a kelnerzy zadają, by obsługa była sprawna. Do tej pory radzili sobie doskonale z obsługiwaniem imprez na 400-600 osób, poradzą więc sobie i z większą liczbą gości.

Rozczaruje się ten, kto przy stole 1000-lecia zechce posmakować najnowszych odkryć kuchni. Serwowane będą potrawy tradycyjne: dziczyzna, paszety, smalce, bigosy. Ze względu na zagrożenie zatruciami, nie znajdują się na najdłuższym gdańskim stole tatarzy ani łody. Również z tego powodu i ze względów praktycznych wspinała zastawę, jaką zwykle kojarzy się z ucztami, zastąpią nakrycia jednorazowego użytku. Organizatorzy planują, że biesiada potrwa kilka godzin.

Co nam zostanie

Przeglądając planowane w Gdańsku w najbliższym czasie inwestycje, można odnieść zaskakujące wrażenie, że... wszystko robi się tutaj z okazji milenium. Planuje się budowę osiedli mieszkaniowych, przychodni, ośrodków opiekuńczo-wychowawczych, a nawet modernizację węzłów ciepłowniczych czy sygnalizacji świetlnej na gdańskich ulicach.

Zabytki. Wśród historycznych budowli, które do przyszłego roku mają odzyskać swoją świetność znalazły się: Dwór Artusa, Ratusz Głównego Miasta, Dom Uphagena, Kościół św. Jana, Złota i Zielona Brama oraz Baszta „Na Zamurzu”. Władze Gdańska mają też zadbać o odpowiednie oświetlenie Głównego Miasta. Podświetlone zostaną też Zbrojownia, Bazylika Mariacka oraz Bramy: Mariacka, Świętojańska i Straganiarska. Zagospodarowana zostanie również Wyspa Spichrzów, gdzie ma powstać centrum usługowo-handlowe i hotelarskie. Kosztami tych inwestycji podzielić się m.in. miasto, Muzeum Historii Miasta Gdańska, Fundacja im. Stefana Batorego, wojewódzki konserwator zabytków oraz Fundacja Współpracy Polsko-Niemieckiej.

Drogi. W kolejne tysiąclecie Gdańsk powinien wejść ze sprawnym układem komunikacyjnym i ulicami bez dziur. Czy się to uda? Nie wiadomo, ale prace trwają. W planach jest m.in.: modernizacja ulicy Słowackiego, która ułatwi połączenie z portem lotniczym Gdańsk-Rębiechowo; budowa trasy W-Z łączącej Śródmieście Gdańskie z obwodnicą

Trójmiasta; autostrada A-1, której realizacja ciągle jeszcze znajduje się na etapie dopracowywania koncepcji. Zmodernizowane mają być również ulice Grunwaldzka i Władysława IV oraz trasa warszawska w kierunku stolicy (prace prowadzone są głównie na obiektach inżynierskich). Rozbudowany zostanie także układ drogowy na Przymorzu. Inwestycje te finansują głównie trzy budżety: miasta, wojewody i państwa.

Turystyka. Wśród milenijnych projektów nie zabrakło takich, które będą sprzyjać rozwojowi tej sfery. Pas nadmorski uatrakcyjniło właśnie m.in. moło spacerowe z zapleczem medyczno-sanitarnym i ścieżki rowerowe. Przy ul. Szafarnia powstanie przystań jachtowa, dzięki czemu Główne Miasto zostanie otwarte dla żeglarzy. Przystań, łącznie z traktem pieszym Długiego Pobrzeża, będzie miejscem, gdzie mieszkańcy miasta i ich goście będą mogli brać udział w imprezach masowych organizowanych na Kanale Motławy.

Na rozwój turystyki nie można liczyć, jeżeli nie zapewni się turystom wygodnego dotarcia do miasta. Dlatego też zdecydowano o budowie terminalu pasażerskiego na lotnisku w Rębiechowie. Nowy dworzec lotniczy będzie mógł obsługiwać jednorazowo 500 tys. pasażerów. Kontynuowane są również prace modernizacyjne gdańskiego dworca PKP - w jego piwnicach znajdzie się wkrótce centrum handlowo-usługowe.

Z turystyką łączy się również inwestycje związane z wypoczynkiem i rekreacją. W pobliżu Opery i Filharmonii Bałtyckiej powstanie ma multikino. W obiektach elektrociepłowni EC-I na Ołowiance znajdzie się kompleks koncertowo-widowiskowy, a w nim: sala koncertowa na 1500 miejsc oraz amfiteatr na wodzie. Natomiast Spichlerz Królewski przemieniony zostanie w Dom Pracy Twórczej. Również w dawnym kinie „Gedania” - z myślą o Akademii Muzycznej w Gdańsku - powstanie sala koncertowa.

Miasto wzbogacić ma się także o nowe hotele i pola biwakowe, m. in. nad Oplwem Motławy, gdzie planowana jest budowa ośrodka rekreacyjnego.

Janusz Czerwiński
Anna Fibak
Roman Warszawski
(K.K.)

Kolorowe akwaforty B.F. Leizela, wykonane na podstawie grafik M. Deischa, pochodzące ze zbiorów Biblioteki Gdańskiej PAN, wydała Oficyna Czer.



Fot. Robert Kwiatek

Łódź świętego Wojciecha

Jest wąska i długa, pachnie smołą i drewnem. Jest? Dopiero będzie. W warsztacie Aleksandra Celarka, w Chałupach, powraca z niebytu łódź świętego Wojciecha.

Replika? Trudno tak powiedzieć. Jedyne znane wizerunki łodzi widniejące na słynnych Drzwiach Gnieźnieńskich to raczej fantazja na jej temat dużo później stworzonego artysty. Łódź Wojciechowa - bis wzorowana jest na tym, co w roku 1934 znaleziono w korycie potoku przepływającego przez gdańską Orunię.

Długa na jedenaście metrów. Wąska: tylko 230 cm. Ośmiometrowy maszt. Zapewne 30 metrów kw. rejowego żagla.

- To się jeszcze okaże - mówi o rozmiarach żagla pan Aleksander. Dopiero na wodzie sprawdzimy stateczność. Kto wie, czy przy tak wąskim kadłubie nie powstanie z łodzi jakiś wielki windsurfing. Za to na wiosłach powinna pruć fale jak szalona.

Czternastu ludzi zasiądzie przy wiosłach, kiedy w przyszłym roku wskrzeszony świętowojechowski pojazd weźmie kurs na Gdańsk. A potem dalej na wschód, szlakiem męczennika sprzed lat tysięcy.

Z Gdańska - Wistą, Szkarpawą, przez Zalew Wiślany, Elbląg - na Drużno i dalej, rzeką Dzierżon do Świętego Gaju. Nie jest jednak wykluczone, że święty Wojciech zginął w innym miejscu. Mówi się np. o Sambii. Może więc i tam, pod dzisiejszy Królewiec pewnego dnia Wojciechowa łódź zawita.

Pomysł rzucił nasz redakcyjny kolega, Tadeusz Jabłoński. Milenium. Święty Wojciech. To przecież rzeczy nierozłączne. Społeczny komitet budowy skupiony wokół Centralnego Muzeum Morskiego i redakcji „Dziennika” stara się o pozyskanie pieniędzy i materiałów oraz czuwa nad wcielaniem myśli w czyn. Koszt - bagatela - miliard (starych) złotych. Kto miałby zaś łódź zbudować, jeśli nie inżynier Celarek: fachman jakich mało, znawca kaszubskich łodzi.

W warsztacie pana Aleksandra widać już kształty przyszłej łodzi. Wyniosła stewa, pierwsze deski poszycia. Dębowe drewno przyjechało z tartaku w Sadlinkach.

- Nie ma już dziś jednak tych wspaniałych, bezszęnych drzew. A smołę drzewną wyprodukują chyba sam - mistrz nie zraża się trudnościami - jak na złość zaprzestano ostatnio jej produkcji. Jeśli miałoby być jak dawniej, kadłub uszczelniliby mchem. Szkopuł w tym, że ten gatunek obecnie jest pod ochroną - muszą wystarczyć pakuły. Rzecz jasna, kadłuba nie skala ani jeden gwóźdź.

Od kwietnia, dzień po dniu, rodzi się niezwykle statek. Pewnie późną jesienią zakolysze się na wodzie. A potem, w roku tysiąclecia, pomoże nam przenieść się myślą w czasy, gdy nad Motławą nikt nie podejrzewał, że to właśnie Rok Pierwszy.

Janusz Czerwiński

PS. Realizację tego przedsięwzięcia można wesprzeć dokonując wpłaty na konto Towarzystwa Przyjaciół Centralnego Muzeum Morskiego, PKO I/O Gdańsk 19510-8022-189-94 z dopiskiem „Łódź Wojciechowa”.

LA MAISON DE LA VILLE DE DANZIG



Das Recht Städtische Rath-Haus, neben dem vordern Theil des langen Markts.

La véritable Maison de ville avec le devant du long & Marché de la ville de Danzig.

Przeciętny
Rosjanin
po raz
pierwszy
mógł zobaczyć
własne okręty
wojenne.



Aplauz międzynarodowej publiczności wzbudziło przybycie do brzegu cieśniny małego żaglowca z carem Piotrem I i jego świtą.

Korespondencja własna z 300-lecia floty rosyjskiej

Parada



Aby wykonać lot w bliskiej odległości od widzów, samoloty szturmowe Su 27 obniżyły lot na wyłączonych silnikach.

Wielka parada okrętów i samolotów rosyjskiej Marynarki Wojennej oraz patrolowców Królewskiej Grupy Wojsk Ochrony Pogranicza była kulminacyjnym punktem obchodów 300-lecia floty rosyjskiej w obwodzie królewskim. Pokaz sił morskich odbył się w minioną niedzielę w Bałtyjsku, na wodach Cieśniny Piławskiej.

Z okazji jubileuszu sił morskich Federacji Rosyjskiej i Bałtyckiego Międzynarodowego Festiwalu Flot w porcie królewskim w dniach 26 - 28 lipca gościła międzynarodowa flotyła okrętów wojennych, jednostek służb granicznych i jachtów. Polskę reprezentowały patrolowce Morskiego Oddziału Straży Granicznej SG-311 „Kaper-1” i okręt rakietowy Marynarki Wojennej ORP „Metalowiec”.

Mieszkańcy Królewca świętowali już w sobotę. Na estradzie, stojącej obok mostu nad Prełogą, występowały zespoły wojskowe, m.in. orkiestry marynarek wojennych Rosji, Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii. Na placu w pobliżu rzeki wystawiono sprzęt wojskowy. Prawdziwe oblężenie przeżywa-

ły cumujące w porcie zagraniczne okręty i patrolowce. Przez pokład „Kaper-1” i „Metalowca” przewinęło się po ponad 5 tys. zwiedzających. Większość Rosjan miała też możliwość obejrzenia pierwszy raz własnego okrętu wojennego.

* * *

W niedzielę, na drodze wiodącej z Królewca do Bałtyjska (wyremontowanej z okazji święta), powstał gigantyczny korek. Niektóre samochody dotarły do Bałtyjska już po paradzie. Trudności z poruszaniem się miały nawet uprzywilejowane kolumny samochodów, wiozących przedstawicieli władz i gości zagranicznych.

Do portu bałtyjskiego od rana ciągnęły tłumy. W rejon trybun, rozlokowanych wzdłuż cieśniny, dopuszczano jedynie posiadaczy specjalnych zaproszeń. Byli wśród nich przede wszystkim wojskowi z rodzinami i weterani floty z rzędami medali wojskowych na marynarkach. Przez szpalery marynarzy, pograniczników i milicjantów nie przepuszczono nawet wszystkich członków załóg zagranicznych okrętów. Trybuna honorowa znajdowała się na pokładzie dużego okrętu minowego.

Uroczystości zapoczątkował przegląd sześciu okrętów, cumujących w cieśninie, dokonany przez admirała Igora Kasatonowa, zastępcę dowódcy Floty Bałtyckiej z kutra admirałskiego oraz salwą honorową z działa okrętowego.

Aplauz międzynarodowej publiczności wzbudziło przybycie do brzegu cieśniny małego żaglowca z carem Piotrem I i jego świtą. Wyjściu aktorów na estradę towarzyszyły fajerwerki oraz dźwięki starego marsza wojkowego, granego przez orkiestrę i werbliski w historycznych ubiorach.

Piotra I uznaje się za twórcę floty rosyjskiej. Słynne stało się jego powiedzenie: „Wszyscy, którzy tylko wojska lądowe mają, jedną rękę mają, a którzy i flotę mają, obie ręce mają”. Przekonał się on o tym osobiście w 1695 roku podczas nieudanej próby zdobycia tureckiej twierdzy morskiej Azow. W 1696 roku, obradując w Moskwie pod jego przewodnictwem, rada bojarów postanowiła: „zbudować morskie statki wojenne”. Dzięki flocie

Rosja odniosła zwycięstwa z Turkami i ze Szwedami, uzyskując dostęp do Morza Bałtyckiego i Czarnego, a czasem przeistoczyła się w imperium.

Paradę w Bałtyjsku zapoczątkowały nieduże, silnie uzbrojone okręty rakietowe i patrolowe. Wpływając kolejno od strony morza wystrzeliwały pociski artyleryjskie i rakietowe na wysokości trybun. Pociski z hukiem przelatywały wzdłuż cieśniny i rozrywały się na zamkniętym akwenie Zalewu Kaliningradzkiego. W paradzie uczestniczył także duży okręt podwodny i rzadko pokazywane poduszkowce bojowe, mogące przewozić pojazdy pancerne i pododdziały piechoty morskiej. Z otwartej furty dziobowej dużego okrętu desantowego na wody cieśniny wypłynęły pojazdy bojowe piechoty morskiej, z załogami strzelającymi z broni pokładowej.

Paradę zakończył pokaz lotnictwa morskiego. Obok trybun, na wysokości kilku metrów nad wodą, przeleciał klucz 4 samolotów szturmowych Su 27. Aby wykonać lot w bliskiej odległości od wi-

dzów obniżyły lot na wyłączonych silnikach, które włączyły, wzbijając się w górę. Potem odbyły się jeszcze efektowne pokazy śmigłowców K-2, samolotu do zwalczania okrętów podwodnych i wreszcie indywidualny, akrobatyczny lot maszyny Su 27.

Po paradzie floty mieszkańcy Bałtyjska i goście wylegli na ulice i skwery. Przy stoiskach, w których serwowano szaszłyki i mocne trunki, ustawiały się kolejki. Na głównym placu miasta wystawiono działa, karbiny maszynowe, torpedy, miny morskie i wóz strażacki z wysoką drabiną, z której zwiślał postrzępiony rękaw ewakuacyjny. Największym powodzeniem u pań cieszyli się zagraniczni marynarze, w tym polscy, których proszono o pozowanie do wspólnych zdjęć.

Podobne imprezy i parady odbyły się także w innych największych bazach floty rosyjskiej - w St. Petersburgu i Archangielsku.

Jacek Sieński
Fot. Maciej Kosycarz



W rejon trybun, rozlokowanych wzdłuż cieśniny, dopuszczano jedynie posiadaczy specjalnych zaproszeń, wśród których byli przede wszystkim weterani floty z rodzinami.



Wzięcie miało zarówno piwko, jak i mocniejsze trunki.



Po paradzie floty mieszkańcy Bałtyjska i goście wylegli na ulice i skwery.



Największym powodzeniem u pań cieszyli się zagraniczni marynarze.

Nobel za czystą wodę

Korespondencja własna
ze Sztokholmu

Drugiego sierpnia, po raz szósty z rzędu rozpoczęło się w Sztokholmie największe światowe święto czystej wody - Stockholm Water Festival. Uroczystość ta ma jakby dwa oblicza. Pierwsze, to największy jarmark w Skandynawii, któremu towarzyszy prawie 1000 imprez kulturalnych. Drugie, to spotkanie naukowców z całego świata zajmujących się problemami wody, połączone z wręczeniem Stockholm Water Prize - nagrody, którą może otrzymać zarówno organizacja jak i pojedyncza osoba, za pracę wykonaną w ciągu ostatnich trzech lat.

Tegoroczną Water Prize (nieoficjalną Nagrodę Nobla) otrzymał dr Jörg Imberger, z Uniwersytetu Zachodniej Australii. Uczony zdobył uznanie jury za opracowanie modeli komputero-

wych, opierających się na dotychczasowych osiągnięciach w dziedzinie biologii i chemii, opisujących ruch mas wody. Wyróżnienie wręczane jest przez króla Karola Gustawa i w tym roku wynosi równowartość 400 tys. nowych złotych. Skąd biorą się fundusze na tak wysoką nagrodę pieniężną? Otóż pochodzą one zarówno ze sprzedaży kartów wstępu na różne imprezy towarzyszące, jak i dochodów z „gwoźdźcia programu” jakim jest wyścig gumowych kaczek w czarnych okularach. Te małe kauczukowe stworzonka pochodzą ze stajni należącej do Great European Duck Races, a ich celem jest zdobywanie funduszy na wyższe cele, np. budowę szpitali. Wszystko podobne jest do wyścigów konnych, tyle, że jak na wodny festiwal



Może ta kaczuszka okaże się szczęśliwa?

przystało, areną zawodów jest morze. Chcący wziąć udział w zabawie wykupują na pocztę certyfikat z nu-

merem swojej kaczuszki. Szacuje się, że w tegorocznym wyścigu wystartuje około 60 000 maskotek.

Osoba, której kaczuszka pierwsza dopłyne do mety dostanie samochód Volvo 850 SE.

W ubiegłym roku festiwal odwiedziło 1,2 mln turystów, którzy mieli szansę wziąć udział w 1200 imprezach. Na marginesie można wspomnieć, że wypili 325 tys. litrów piwa. W tegorocznej edycji Water Festivalu postanowiono nieco ograniczyć liczbę towarzyszących mu koncertów i spektakli. Chodzi o dalsze podniesienie poziomu artystycznego imprezy i nadanie jej wyższego międzynarodowego statusu. Sztokholmskiemu świętu czystej wody, jak co roku towarzyszyć będą pokazy sztucznych ogní, uchodzące za mistrzostwa świata w tej dyscyplinie. W tegorocznej edycji na starcie staną jedynie zwycięzcy pięciu poprzednich zawodów, a więc po dwie reprezentacje Australii i Hiszpanii oraz drużyna Włoch. Water Festival zakończy się 10 sierpnia.

Tekst i zdjęcie Ivo Jacobi

Agroturyzm
dla każdego

Wakacje
na
sianie

Tym razem zapraszamy na wieś tych Czytelników, którzy lubią wypoczywać w górach. Karkonosze, dzięki swym łagodnym grzbiutom i dobremu zagospodarowaniu turystycznemu, są dostępne niemal dla wszystkich. Tu leży wiele atrakcyjnych miejscowości turystycznych (z Karpaczem i Szklarską Porębą), uzdrowisk (m.in. Cieplice Śląskie-Zdrój z najcieplejszymi w Polsce wodami mineralnymi). Amatorzy zwiedzania średnio-wiecznych zamków i budowli też znajdą coś dla siebie.

Informacjami o kwaterach agroturystycznych w woj. jeleniogórskim dysponuje Wojewódzki Ośrodek Doskonalenia Rolniczego w Jeleniej Górze-Sobieszowie (58-570 Jelenia Góra, ul. Cieplicka 235, tel. /0-75/ 530-81), rezerwację i warunki pobytu ustalamy natomiast z rolnikami. Oferta jest ciekawa i zróżnicowana - od miejsca na polu namiotowym, kwater na poziomie schroniska młodzieżowego do luksusowych apartamentów. Takie karkonoskie wsie jak Zachełmie, Bukowiec, Przesieka, Miłków czy Kowary są wymarzonymi punktami wyjściowymi w góry, a jednocześnie można w nich wypocząć z dala od turystycznego zgiełku Karpacza czy Szklarskiej Poręby. Gospodarze proponują nie tylko nocleg i wyżywienie, ale też służą pomocą w poznaniu regionu, organizują wyprawy po leśne runo, polowania, połowy ryb w stawach, hipoterapię, naukę jazdy konnej i inne atrakcje.

W ofercie ośrodka z Jeleniej Góry znajduje się też... pałac otoczony parkiem, w Sadach Dolnych k. Bolkowa. W niecodzienny sposób można również spędzić urlop w Pławnej na Pogórze Izerskim w domu pracy twórczej artysty Dariusza Miłńskiego. Na życzenie gości gospodarz organizuje imprezy plenerowe.

Wieś sudecka ma także oferty dla grup zorganizowanych. Np. w Rzęsiniach (gm. Gryfów Śląski) mieszkańcy wsi przyjmą grupę do 40 osób, pokażą okoliczne zabytki, zorganizują ognisko z pieczeniem prosiaka, zabawę taneczną, przejażdżki bryczkami.

Informację agroturystyczną udostępnia również Fundacja na Rzecz Rozwoju Polskiego Rolnictwa we współpracy z Sudeckim Towarzystwem Turystyki Wiejskiej (58-500 Jelenia Góra, ul. 1 Maja 42, tel. /0-75/ 251-14). Wakacje można spędzić też w gospodarstwie posiadającym atest Ekolandu - rezerwacji dokonuje biuro Eko-Agro-Tourizm, 58-535 Miłków, tel. /0-75/ 533-46 (wtorki, czwartki w g. 10-14), fax 220-45.

(mir)

Komu kibicują kobiety? Do kogo wzdychają mężczyźni?

Seksowni olimpijczycy

Sportowcy i sportsmenki Stanów Zjednoczonych uznani zostali za najseksowniejszych. Reprezentantki Francji, przez wielu uważane za wcielenie seksapilu, musiały zadowolić się drugim miejscem. Ponad 10 tys. ankietowanych piętnastu różnych narodowości tak właśnie typowało. Te olimpijskie badania zorganizowała i opłaciła firma DUREX, znany na całym świecie producent prezerwatyw.

W czołówce znaleźli się również sportsmeni z Italii i panowie z kraju kangurów. Wysoko uplasowali się sportowcy obu płci z Brazylii. Polacy, niestety, podobnie jak reprezentanci RPA i Tajlandii, dostali miejsce wśród najmniej seksownych ekip. Nieco więcej, według respondentów, seksapilu mają Rosjanie. Najmniej skromni byli kibice USA, Australii, Brazylii i Kanady - oni za uosobienie seksu uważają swoich reprezentantów. Polki i Polacy wzdychają do Amerykanów i Australijczyków.

Badani byli pytani o ekscytujące ich zdaniem, dyscypliny sportu. Okazało się, że kobietom najbardziej podobają się pływacy. Tak wskazało ponad 46 proc. pań. Jest także na czym zawiesić oko podczas meczu piłkarskiego - tak uważa jedna trzecia pań. Powyżej średniej są Brytyjki - co druga wzdycha do jakiegoś piłkarza angielskiej Premier League. Okazało się, że tak zwane przez mężczyzn „sporty dla prawdziwych twardzieli” paniom się nie podobają. I tak - za najmniej wartych oglądania kobiety uznały kulomiotów. Na dole uplasowali się też bokserzy i kolarze. Panowie okrzyknęli gimnastyczki królowymi wdzięku. Tak uważało sześciu na dziesięciu mężczyzn. Panowie lubią także wycieczki na baseny i tory łyżwiarskie. Oczywiście po to, aby popatrzeć na pływaczki i łyżwiarki. To pierwsza trójka męskich typów. Jedynie gospodarze igrzysk wyłamali się z chóru ogólnego zachwytu nad tymi sportami. Mieszkańcy USA uznali koszykówkę za najseksowniejszy sport. Francuzów zachwyca jazda figurowa na lodzie w damskim wydaniu - tak jak zresztą w Kanadzie i Hiszpanii.

Po raz kolejny w badaniach DUREX OLIMPIC SURVEY powrócił problem wstrzemięźliwości seksualnej przed ważnymi zawodami. Odpowiedzi, co daje się zaobserwować, uwarunkowane są kulturą i położeniem geograficznym państw, w których DUREX prowadził analizy na temat seksu. Zdania co do słuszności abstynencji są podzielone. Okazuje się, że kobiety częściej niż mężczyźni protestują przeciwko „cichym, przedolimpijskim nocom”. Badanych zapytano: „Czy wstrzemięźliwość seksualna przed zawodami zapewnia lepsze wyniki?”. Odpowiedzi „zdecydowanie tak” udzieliło 15 proc. mężczyzn i 11 proc. kobiet. Generalnie co trzeci respondent odpowiadał, że lepiej iść grzecznie spać samemu. Tylko co czwarta kobieta twierdziła podobnie. Hiszpanie, Meksykanie i Niemcy uważają, że stosunki seksualne, jeśli nie zapewniają zwycięstwa, to przynajmniej je ułatwiają. Kibice z Republiki Południowej Afryki i Tajlandii najchętniej dopilnowaliby, żeby reprezentacja ich kraju do ostatniej chwili odbywała treningi, a nie oddawała się uciechom ciała.

Choć ponad połowa Polaków twierdzi, że ma do czynienia ze sportem, jesteśmy na samym końcu listy narodowości dbających o kondycję fizyczną. Na jej początku znaleźli się Amerykanie i Brytyjczycy. Jeśli już uprawiamy jakąś dyscyplinę, to jest nią kolarstwo - tak deklarowało 15 proc. ankietowanych. Lubimy także pływanie i gimnastykę. Najmniej zwolenników ma w naszym kraju golf. Okazuje się także, iż mężczyźni bardziej dbają o kondycję niż kobiety. 71 proc. mężczyzn i 62 proc. kobiet uprawia jakiś sport. Kobiety po-



Okazało się, że tak zwane sporty dla prawdziwych twardzieli paniom się nie podobają. Fot. CAF/PAP

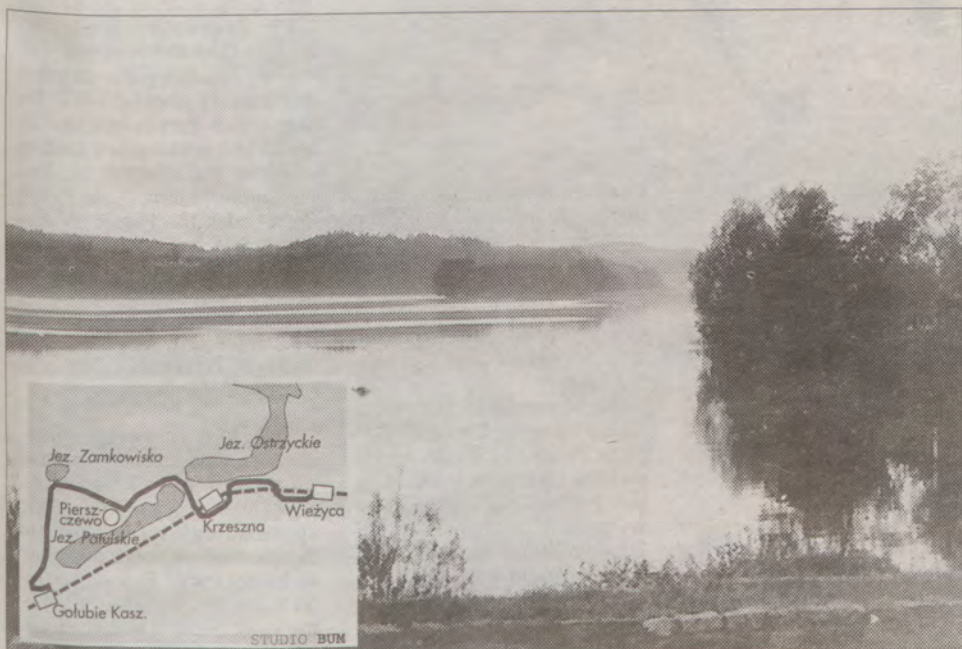
święcują wolny czas na ćwiczenia gimnastyczne. Nieobce są im także wycieczki na basen - co piąta z nich regularnie pływa. Panie lubią też wycieczki rowerowe. Mężczyźni wybierają piłkę nożną - co czwarty pan biega w korkach po boisku. Dużą popularnością cieszą się wśród nich także sporty walki i pływanie.

Tomasz Karczewski

Rusz się!

Od jeziora do jeziora

Tam, gdzie zatrzymał się czas



Nad Jeziorem Ostrzyckim.

Fot. Tadeusz Gruchalla



Dwór II przy ulicy Polanki.

Fot. Jerzy Samp

Zgodnie z wcześniejszą obietnicą, na najbliższą sobotę lub niedzielę proponuję wycieczkę z dojazdem słynną już „Costerina” - pociągiem doczepionym do parowej lokomotywy.

Na jednej z trójmiejskich stacji wykupujemy bilet turystyczny - powrotny do Gołubia Kaszubskiego. Trasa wycieczki prowadzić będzie wyjątkowo malowniczym odcinkiem czerwonego szlaku kaszubskiego, wiodącego z Kamienicy Królewskiej do Olpucha Wdzydze o długości ponad 120 km. Nasza trasa prowadzić będzie z Gołubia Kaszubskiego przez Pierszczewo i Krzesznę do Wieżycy.

Po wyjściu z pociągu w Gołubiu kierujemy się biegnącą w dół drogą w głąb wsi. Mijamy kilka restauracji i kawiarenek z miejscowymi przysmakami. Na końcu wsi, gdzie szosa zagłębia się w las i prowadzi dalej do Stężycy, spotykamy czerwone znaki szlaku turystycznego. Kierujemy się ze znakami w prawo pod górę skrajem lasu.

Po ok. 3 km osiągamy pięknie położone wśród lasu jez. Zamkowskie. Szlak przebiega tu w pobliżu górującego nad jeziorem i godnego obejrzenia Grodziska. Po odpoczynku nad wodą ruszamy dalej, aby wkrótce dojść do wsi Pierszczewo. Teraz kontynuujemy wędrowkę drogą wiodącą wzdłuż jez. Patulskiego, z której roztacza się piękny widok na jezioro i leżące po jego drugiej stronie Wzgórze Szymbarskie i górę Wieżycę. Droga łagodnie obniża się i po minięciu zabudowań wsi Pierszczewo schodzi na sam brzeg jeziora. Przechodzimy przez mostek nad strugą łączącą jez. Patulskie i Ostrzyckie, przez wiadukt nad torami kolejowymi i zbliżamy się do stacji kolejowej Krzeszna. W Krzesznej można odpocząć, posilić się i podziwiać pełne żaglówek, kajaków i łódek jez. Ostrzyckie. Widoczny po drugiej stronie jeziora wysoki, porośnięty lasem brzeg to rezerwat przyrody Ostrzycki Las. Idziemy dalej. Tuż za stacją przechodzimy przez tory i wzdłuż nich kontynuujemy wędrowkę. Dochodzimy do szosy i opuszczamy odchodzący w lewo do Ostrzyck - szlak. Skręcamy w prawo pod wiadukt i lewą stroną szosy podążamy do odległej o 2 km Wieżycy. Po drodze mijamy hoteliki i pensjonaty, które oferują przejażdżki na koniach lub kucykach. Szosa zbliża się do podnóża góry Wieżycza o wys. 329 m n.p.m. Góra porośnięta pięknym bukowym i mieszanym lasem stanowi rezerwat przyrody o nazwie Szczyt Wieżycza.

Szosa, którą idziemy skręca w prawo, a my idziemy prosto do widocznej już z daleka stacji kolejowej Wieżycza. Tu kończymy wycieczkę, którą należy potraktować jako rekonesans przed innymi wyprawami w ten niezwykle atrakcyjny i urozmaicony krajobrazowo rejon Kaszub.

Uwaga! W rejonie wsi Pierszczewo aż do Krzesznej znaki szlaku turystycznego zostały zamalowane żółtą farbą przez „znakarza” posiadającego zapewne „papiery” tego samego koloru.

Stanisław Strojny

Jak dojechać

Pociąg turystyczny „Costerina” odjeżdża z Gdyni Gł. o godz. 10. Do Gołubia przyjeżdżamy o godz. 11.27. Powrót z Wieżycy do Gdyni o godz. 15.54 lub 17.36.

Na dwudniową wycieczkę z Tolkmicka do Elbląga zaprasza KTP Trampy. Wyjazd w sobotę z Gdańska o godz. 7.15 pociągiem do Elbląga, tam przesiadka na pociąg do Tolkmicka. Należy wziąć ze sobą spiwór. Zaplanowano wieczór przy ognisku. Powrót w niedzielę po południu.

W sobotę na drugi etap pieszego rajdu letniego „Na północ od Gdyni” zaprasza Komisja Turystyki Pieszej

Oddziału Morskiego PTTK w Gdyni. Tym razem trasa rajdu liczy 16 km i wiedzie z Krokowej do Jastrzębiej Góry. Zbiórka uczestników w holu dworca głównego w Gdyni, wyjazd o g. 9.11 kolejką SKM do Wejherowa, stamtąd autobusem o g. 10 do Krokowej.

W sobotę o godz. 11 w Gminnym Ośrodku Kultury w Miłoradzu odbędzie się z inicjatywy Komisji Krajoznawczej Oddziału PTTK w El-

Wędruj razem z nami

blagu, Nadwiślańskiego Klubu Krajoznawczego Trsów i gdańskiego oddziału Towarzystwa Opieki nad Zabytkami, otwarte posiedzenie na temat ochrony przyrody i zabytków nadwiślańskiej gminy Miłoradz. Mo-

Idąc dalej, natrafimy po tej samej stronie ulicy kolejne założenie pałacowe. Do Dworu I wchodzi piękna stara aleja. Obecność tej budowli w głębi starego parku sygnalizuje nam niewielka budowla o osobiwej bryle, jaką jest wzniesiony tuż przy ul. Polanki zabytkowy pawilonik ogrodowy, niestety mocno już zdewastowany.

Podobnie jak przed tygodniem spotykamy się w Oliwie. Spod znanego już nam Dworu III (ul. Polanki 122), którego właścicielami byli pod koniec wieku XVIII Schopenhauerowie, ruszamy w stronę starej Oliwy.

Po krótkim spacerze zza drzew wyłoni się obszerny zespół budowli dworskich, znany jako Dwór II (ul. Polanki 124). Tworzą go dwa pałace z końca XVIII wieku; większy i położony nieco głębiej mniejszy, a także inne jeszcze zabudowania. Kiedyś, ta budząca zachwyt posiadłość patrycjuszowska nosiła miano (podają za F. Mamuszką) „Quellbrum” (Krynica) - nawiązując swą nazwą do bijącego nieopodal leśnego źródła. W drugiej połowie XVII wieku nieruchomości należała do patrycjuszowskiej rodziny Klefeldów. Zgodnie z panującą modą, w głębi urządzono wytworny park pełen rzadkich okazów roślin. W pełni wykorzystano walory pejzażowe tego miejsca. Swoistego czaru dodawały ogrodowi sztuczne stawy, po których majestatycznie pływały labędzie.

Poczynając od minionego stulecia, dwór pełnił funkcję domu starców. Stosunkowo dobrze zachowany, przejęty został po drugiej wojnie światowej naj-

pierw przez wojsko, później zaś marynarkę. W ostatnich dziesięciu latach pozostawiony przez poprzedniego użytkownika własnemu losowi, źle zabezpieczony, stał się obiektem dewastacji na dużą skalę. Obecnie nie sposób go zwiedzać. Można co najwyżej podziwiać jego majestatyczną bryłę. Aktualnie trwają prace remontowo-adaptacyjne. W zabytkowym Dworze II powstało Centrum Ekumeniczne oraz klasztor, którego gospodarzem będzie Zakon Sióstr pw. Św. Brygidy z jego Kurią Generalną w Rzymie.

W połowie XVII wieku posiadłość ta należała do niejakiego Simona Schlepa, a od roku 1654 do rodziny Engelke. Zachował się klasycystyczny pałac ozdobiony dwoma portykami, tuż obok natomiast stara oficyna z charakterystycznym mansardowym dachem i stylowymi lukarnami. Urządzony z przepychem park nie miał równego sobie

w najbliższej okolicy, niemówiąc oczywiście o słynnym Parku Oliwskim. Do dziś zachowało się tu wiele cennych okazów flory, a także pomniki przyrody. Jednym z nich jest potężny dąb szypułkowy, którego pień liczy sobie w obwodzie ponad pięć i pół metra. Warto doprawdy zwiedzić to miejsce, gdzie czas jakby zatrzymał się, byśmy mogli podziwiać ostatnie już relikty pałacowo-dworskich czasów.

Kończąc nasz spacer, możemy, skręcając przed gmachem V Liceum Ogólnokształcącego (budynek pochodzi z roku 1913), zagłębić się teraz w piękną ulicę Podhalańską. Zwrócimy zapewne uwagę na interesującą bryłę poewangelickiego kościoła. Zbudowano go w latach 1913-1920. Jego gospodarzami są od roku 1945 ojcowie cystersi. Wysoka wieża świątyni zwieńczona była strzelistym hełmem. Ze względów bezpieczeństwa trzeba go było niedawno zdemontować. Nowe zwieńczenie o solidnej stalowej konstrukcji już czeka na zamontowanie.

Pełna uroku ulica Podhalańska zaprowadzi nas ku Kwietnej. Tą z kolei udamy się w stronę Doliny Radości. O czekających nas tam niespodziankach opowiem wszakże dopiero za tydzień.

Jerzy Samp

gą w nim uczestniczyć wszyscy zainteresowani tą problematyką. Po posiedzeniu organizatorzy zaplanowali pieszą wędrowkę w okolicach Miłoradza.

W niedzielę na wycieczkę zaprasza Klub Turystyczny Wanoga. Szczegółowe informacje można uzyskać w Oddziale Morskim PTTK w Gdyni pod nr. tel. 21-77-51.

(mir)

Podróże



Święta Kaplica ukryta za fasadą Pałacu Sprawiedliwości

O odwiedzeniu stolicy Francji, mieście poetów, malarzy, wielkiego centrum kulturalnego, naukowego, znakomitego zespołu zbiorów muzealnych i zawołowanego seksu marzy niemal każdy. Osobom, które nigdy tam nie były, Paryż kojarzy się z wieżą Eiffla, gotycką katedrą Notre Dame, łukiem triumfalnym, Louvrem, czy placem Pigalle, gdzie - jak wiemy ze „Stawki większej niż życie” - sprzedaje się najlepsze kasztany.

Paryż jest miastem, którego nie sposób poznać nawet w ciągu roku. Organizowane na 4 - 5 dni wycieczki są tylko po to, aby ich uczestnik mógł się pochwalić przed znajomymi, że był w Paryżu. To miasto ma swój niepowtarzalny klimat. A jest w nim wszystko.

Historia

miasta została zapisana przez Cezara już w 52 r. przed narodzeniem Chrystusa. W III w. n.e. Paryż był chrześcijański i miał nawet swojego pierwszego biskupa świętego Denisa, od którego wzięła się nazwa peryferyjnej dzielnicy z bardzo znaną katedrą gotycką. Notabene, nazwany tym samym imieniem bulwar usytuowany niedaleko Dworca Wschodniego, wieczorem jest miejscem spotkań z panienkami uprawiającymi najstarszy zawód świata.

Nowa religia i nowe królestwo zobowiązywały. Wyspa Cité stała się zbyt mała. Na brzegach, po obu stronach rzeki rozrastało się duże centrum władzy państwowej i religijnej. W XI w. istniały już trzy duże dzielnice. XII w. to początek nowej epoki w sztuce, zwanej gotykiem. Od katedry Notre Dame, wybudowanej w 1163 r. rozpoczęła się ekspansja gotyku na całą Euro-

pę. W Gdańsku zaczęto budować według nowej mody dopiero ponad dwa wieki później.

Około roku 1200 powstał pierwszy paryski uniwersytet. A potem przez cały XIII w. wyrastały, jak grzyby po deszczu, gotyckie kościoły. Najpiękniejszym z nich jest Ste Chapelle - Święta Kaplica, ukryta za fasadą obecnego Pałacu Sprawiedli-

ści. Dawniej była to pałacowa kaplica królewska.

Nowe czasy

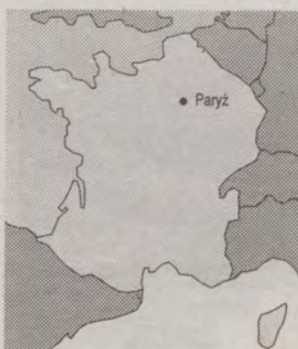
rozpoczynają się wraz z budową Bastylii, fortyfikacji wzniesionej do obrony przed Anglikami, zburzonej podczas słynnej rewolucji francuskiej w 1789 r.

W dobie renesansu, manieryzmu i wczesnego baroku Paryż

Początkowo Paryż był niewielką osadą rybacką, przy której założono rzymski obóz.

W 508 r. stał się stolicą królestwa Franków.

Paryż



przeżywał kryzys. Królowie Francji rzadko przebywali w stolicy. Ich siedzibą stały się zamki nad Loarą. Mimo to do miasta przyjechało sporo Włochów, którzy zaczęli przerabiać na swoją modłę fasady niektórych gotyckich kościołów (np. kościół św. Etienna). Powstało też kilka nowych pałaców: l'Hôtel de Béthune-Sully, l'Hôtel Carnavalet, Palais Soubise, l'Hôtel Lamoignon, Statua Republiki, hale targowe (zburzone w 1968 r. - na ich miejscu postawiono Centrum Pompidou - nowoczesną konstrukcję stalowo-szklaną).

W wieku XVII i XVIII Paryż ponownie stał się kulturalnym centrum Europy. Królowie przenieśli się do nowej siedziby pod Paryżem - Wersalu. W mieście powstał wówczas Palais Royal - Pałac Królewski, kościół Inwalidów, Obserwatorium, zabudowa placu Vendôme, Saint-Louis-en-Ile, Panthéon, Odéon, Pałac Luksemburski i wiele innych znakomitych budowli. Rewolucja tylko na chwilę zatrzymała rozwój miasta.

XIX wiek

zwłaszcza jego druga połowa, to kolejny rozkwit. Odżyły

dzielnice Auteuil, Passy, Montmartre, Belleville, La Villette, Grenelle i Vaugirard. Budowano na rozkaz Napoleona kościół św. Magdaleny. Wzniesiono na wzgórzu białą bazylikę Sacré-Coeur. Ukończono rozpoczęty w XI w. kościół Saint-Germain-des-Prés.

Na Montmartrze zamieszkali artyści: Renoir, Cezanne, Gauguin, Picasso i inni. W kawiarenkach i kabaretach tętniło życie. Podczas międzynarodowej wystawy w 1889 r. Gustave Eiffel zaprezentował wieżę - niezwykle dzieło sztuki inżynierskiej, które stało się symbolem Paryża. W świecie erotyki,

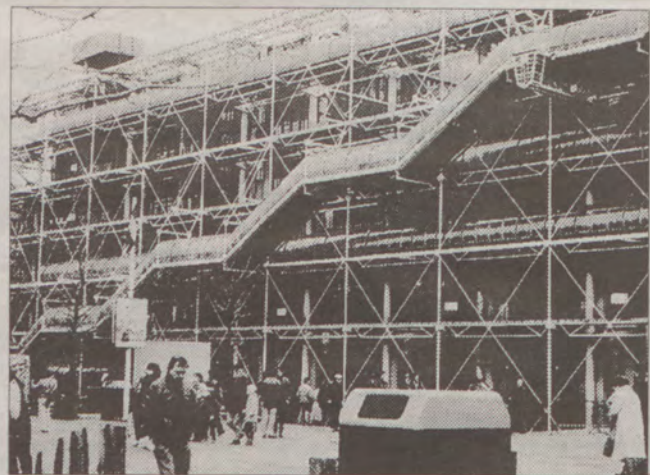
ku triumfalnym. Wiele godzin spędzają w Luwrze i innych 40 najważniejszych muzeach miasta. Niektórzy udają się do dzielnicy Defense, gdzie podziwiają szklane domy.

Gdzie przenocować?

Najtaniej w schronisku młodzieżowym (Auberge de Jeunesse - 120 F; 1 dol. = ok. 5 F). Tani hotel kosztuje od 130 do 200 F. Proponujemy hotele Formuły 1 (jest to popularna sieć w całej Francji), gdzie za pokój trzyosobowy płaci się 149 F. Na peryferiach Paryża jest ich kilkanaście - informacje i katalog dostępne pod adresem 31, Rue du Colonel Pierre Avia 75904 Paris Cedex 15 - France. W drogich hotelach za nocleg płaci się od 3 tys. F za pokój. Na kempingu Bois de Boulogne za dwie osoby płaci się 70 F. Tyle samo na kempingu w Choisy-le-Roi 11 km od Paryża.

Jak się poruszać?

Jeśli ktoś przyjechał samochodem, lepiej niech pozostawi go na parking. Wygodniej, szybciej i taniej pokonuje się spore odległości w centrum miasta metrem (plan dostępny na każdej stacji). Pojedynczy bilet kosztuje 7 F, karnet 10-biletowy - 41 F. Można również ku-



Centrum Pompidou, gdzie mieszczą się galerie sztuki, biblioteki i kluby spełniające rolę swego domu kultury

w kabarecie Moulin-Rouge na słynnym placu Pigalle malował swe dzieła Toulouse-Lautrec. Tu narodził się impresjonizm, pointylizm i wiele innych kierunków sztuki.

Dzisiejszy Paryż

to miasto wielkich kontrastów architektonicznych. Nad Sekwaną można jeszcze spotkać bukinistów sprzedających książki. Przez Dzielnicę Łacińską czasem przejdzie clochard ze stosem złożonych kartonów, na których w nocy układa się do snu. Na Placu Pigalle nie ma już kiwających palcem pańienek, chociaż zdarza się, że dla turystów ustawiają się na rogu młode dziewczyny w czarnych, koronkowych podwiązkiach i obcisłych gorsetach. Na schodach Sacré-Coeur, przeważnie latem, spotykają się grupy młodych muzyków, którzy do późnych godzin nocnych grają i śpiewają. Na placu przed katedrą Notre-Dame tańczy się w rytm afrykańskiej, czy orientalnej muzyki.

Turyści tłoczą się na placu Concorde pod egipskim obeliskiem, przy dużym i małym tu-

pić bilet tygodniowy. Karta pomarańczowa, ważna na dwie strefy przy dowolnej liczbie przejazdów kosztuje 67 F.

Muzea

Bilety wstępu nie są tanie. Wstęp do Beaubourg (sztuka współczesna) kosztuje 30 F, do Musée Grévin - 50 F, Musée de l'Homme - 25 F, Louvre - 40 F, Musée d'Orsay - 35 F, Musée Picasso - 28 F. Warto wykupić kartę jednodniową (70 F), trzydniową (140 F), pięciodniową (200 F).

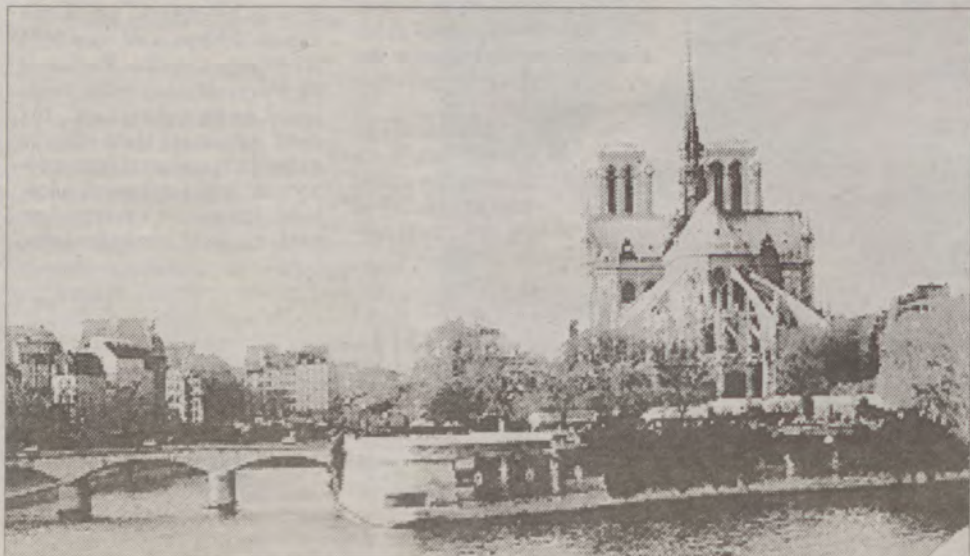
Wstęp do Opery na przedstawienie kosztuje od 60 do 600 F. Wjazd na ostatnie piętro wieży Eiffla - 56 F. Wycieczki po mieście z przewodnikiem kosztują około 50 F.

Co jeść?

Francuska kuchnia różni się od naszej, niestety nie jest tania. Za dobry obiad płaci się od 150 F do kilku tysięcy. Pizza na ulicy kosztuje 45 F. Bagietka - 4 F. Filiżanka kawy przy barze 5 F, na tarasie lub przyniesiona do stolika 10 F i więcej.

Tekst i zdjęcia

Maria Giedź



Katedra Notre-Dame, od której rozpoczęła się inwazja sztuki gotyckiej

Auto Salon

Coś dla prawdziwego
mężczyzny: Jeep Cherokee,
żywa legenda.

Kanciasta tablica
przeładów, niezbyt
czytelne wskaźniki, ale
wygodne fotele.

Fot.
Chrysler International



Jeep Cherokee 2.5 TD

Przed II wojną światową lekkie samochody terenowe przeznaczone dla wojska były z reguły po prostu uproszczonymi wersjami ówczesnych aut osobowych, bądź niezgrabnymi i powolnymi wehikułami z podwoziem kołowo-gąsienicowym. Przełomem był General Purpose Vehicle powstały na przełomie lat trzydziestych i czterdziestych w USA na zamówienie armii amerykańskiej: mały i lekki pojazd z napędem na obie osie i ramową konstrukcją, na której osadzono otwarte nadwozie. Dla nowego samochodu przyjęła się nazwa „Jeep”, stanowiąca fonetyczny zapis liter GP.

Choć dziś na całym świecie produkuje się dziesiątki modeli o podobnej konstrukcji i przeznaczeniu, nikt, poza Chryslerem, nie może legalnie używać zastrzeżonej nazwy. Do legendy sprzed ponad pół wieku nawiązują dziś trzy modele koncernu: Wrangler, bliźniaczko podobny do pojazdu wojennego z II wojny światowej oraz Cherokee i Grand Cherokee z zamkniętym, samonośnym nadwoziem i bogato wyposażonym wnętrzem.

Samochód środka

- tak można by określić Jeepa Cherokee, zestawiając go z dwoma pozostałymi modelami. W udostępnionej nam przez gdańskiego dealera Chryslera, firmę Auto-Europa wersji osobowobagażowej, samochód mieści 2 osoby oraz - w tylnej części odgródzonej ścianką ze stalowej siatki - 600 kilogramów ładunku o kubaturze sięgającej 2000 decymetrów sześciennych.

W porównaniu z dość spartańskim Wranglerem docenić można wygodę wnętrza Cherokee, porównywalną z autami osobowymi. W konkurencji jednak z nowo-

czesniejszym i znacznie bardziej luksusowym Grand Cherokee „zwykły” Cherokee robi wrażenie samochodu użytkowego. Kanciaste nadwozie, któremu nie można odmówić specyficznej urody, jest mało nowoczesne. Niemal pionowa przednia ściana nadwozia i pochylona o niewielki kąt przednia szyba każą przypuszczać, że aerodynamika Jeepa jest już także niedzisiejsza.

Wnętrze

usatysfakcjonować może głównie miłośników konserwatywnego stylu z za oceanu. Fotele z pokryciem z tkaniny przypominającej samodział są wygodne, ale zakres ich regulacji nie wystarcza osobom wyższymi niż 180 cm. Do ustawiania położenia oparcia służy mechanizm zapadkowy dający wybór tylko kilku pozycji. Fotel kierowcy nie ma regulacji pionowej, za to kierownicę z airbagiem można przestawiać w szerokim zakresie. Zestaw wskaźników obejmuje obok dużego, wyskalowanego w kilometrach i milach (i niezbyt czytelnego)

szybkociomierza i obrotomierza aż cztery mniejsze „zegarki”: paliwomierz, termometr cieczy chłodzącej, wskaźnik ciśnienia oleju i amperomierz. Po obu stronach kanciastej tablicy ułożono zestawy dużych lampek kontrolnych. Całkowicie w stylu retro jest wyciągana gałka służąca do włączania świateł zewnętrznych. Również suwakowe regulatory ogrzewania i klimatyzacji oraz niepotrzebnie zminiaturyzowany włącznik dmuchawy odbiegają od europejskich standardów. Klawiszowe włączniki świateł przeciwmieglonych i ogrzewania tylnej szyby zasłonięte są jednym z ramion kierownicy. Dzwigienka kierunkowskazów służy zarazem do obsługi wycieraczek i spryskiwaczy przedniej i tylnej szyby. Ten system wymaga przyzwyczajenia, ale spryskiwacze rozpylające płyn na całą powierzchnię szyby - to jest to!

W dość przypadkowych miejscach na środkowej konsoli odnaleźć można przyciski regulacji zewnętrznych lusterek i korektor położenia reflektora.

Zalety i wady

- + uniwersalność zespołu napędowego i podwozia, umożliwiająca eksploatację zarówno na szosie jak w terenie
- + solidna konstrukcja
- + dynamiczny i elastyczny silnik
- + spora przestrzeń ładunkowa

- niezbyt nowoczesna sylwetka i stylizacja wnętrza
- znaczna hałaśliwość jednostki napędowej
- małe i niewygodne schowki w kabinie
- wysoka cena (egzemplarz testowany: 95 600 zł bez VAT)

Dźwięk

zmiany biegów działa „kanciasto” i wymaga do obsługi dość sporej siły. Za to uchwyt przekładni redukcyjnej Command Track przesuwają się między położeniami H2 (bieg szosowy, napęd na koła tylne), H4 (jazda w terenie) i L4 (trudny teren) wyjątkowo lekko. Napęd na cztery koła można włączać podczas jazdy.

Z Włoch do USA

i z powrotem do Europy odbył podróż turbodoładowany silnik Jeepa Cherokee. Jednostkę napędową o pojemności 2499 cm sześć, wyprodukowała włoska firma WM, specjalizująca się w turbodieslach. Silnik z żeliwnym blokiem i takąż głowicą osiąga moc 116 KM przy 3900 obr./min., a maksymalny moment obrotowy 278 Nm - już przy 1800 obr./min. Wyposażono go w system recyrkulacji spalin.

Wraz z osprzętem oraz agregatami pomocniczymi (klimatyzacja, ABS, serwo) jednostka napędowa szczerze wypełnia komorę silnikową.

Zawieszenie sztywnego przedniego mostu - to nie resory piórowe, jak w klasycznym Jeepie, ale sprężyny spiralne, dwie pary drążków prowadzących i stabilizator. Za to z tyłu -

pełne retro: sztywny most i resory półpiłkowe.

Za kierownicą

Jeepa Cherokee jest w miarę wygodnie. Dobra widoczność z miejsca kierowcy, lekko pracująca kierownica i mały promień skrętu ułatwiają eksploatację w mieście. Poniżej 2 tys. obr./min. samochód jest dość ospały, potem, gdy do akcji wchodzi turbosprężarka, nabiera dużego wigoru. Prędkość 100 km/godz. osiąga już po 13,5 sekundach. Całkowicie realną wartością jest też prędkość maksymalna 165 km/godz. Okupuje się to jednak znaczną hałaśliwością silnika.

Na szosie i autostradzie Jeep zachowuje się stabilnie także przy dużych prędkościach. Ostre zakręty pokonuje ze znacznymi przechyłami nadwozia, ale bez konieczności dramatycznych korekt kierownicy. Mimo zastosowania tarcz wentylowanych z przodu i ABS układ hamulcowy Jeepa Cherokee nie budzi zachwytu swoją skutecznością. To samo jednak można powiedzieć o hamulcach innych aut tego typu.

W terenie za to Jeep wypada nader przekonująco. Imponuje zdolnością pokonywania wzniesień i statecznością. Reasumując - konfrontacja legendy Jeepa z rzeczywistością wypada na mocną czwórkę. Wcale nieźle.

Marek Ponikowski



Fot. Robert Kwiatek

Za kierownicą

Elżbieta
Jabłońska,
dziennikarka
TV
Gdańsk

Moje przygody z samochodem rozpoczęły się od poślizgu. Było to podczas jazdy kursowych, przed dziesięcioma laty. Jechaliśmy do Gdyni po bilety do teatru. Padał deszcz. Szczepie mówiąc - nie wiedziałam wtedy nawet, co to poślizg i że jest to coś, czym należy się przejąć. Zdenerwował się natomiast mój instruktor.

Wspominam go życzliwie, bo był absolwentem szkoły baletowej, a ja wówczas pracowałam w internacie tej szkoły. Dobrze mnie wyuczył, bo zdałam bez dodatkowych jazd, a ci z mojego kursu, którzy takie jazdy zamawiali, w komplecie oblali pierwszy egzamin...

Samodzielnie zaczęłam jeździć dopiero trzy lata temu, gdy kupiłam auto. Oczywiście małego Fiata. Musiałam uczyć się wszystkiego nieomal od zera, ale - odstukać - do dziś przejechałam około 21 tysięcy kilometrów bez żadnych kłopotów. Mówi się, że trzeba konieczność przeżyć jedną stłuczkę samochodową, ale ja uważam, że już ten limit wyczerpałam jako pasażerka autobusu, który uczestniczył kiedyś w poważnym wypadku drogowym. Wystarczy.

Uważam za szczególny powód do dumy fakt, że udało mi się dojechać do pracy pewnego zimowego ranka dwa lata temu, gdy zamarzający deszcz pokrył jezdnię warstwą żywego lodu. Z Żabianki do Wrzeszcza jechałam wtedy dwie godziny. Ale bardziej doświadczeni kierowcy - kapitulowali!

(mjp)

Szamananka

Siedzę i rozmawiam
z aniołami. Patrzę na
mnie łagodnie i obiecują
lepszą przyszłość. Kiedy
wyciągam do nich rękę,
niektóre parzą, a inne
wydymają policzki
i wtedy wieje chłodem.
Ale tak ogólnie chyba
nieźle się rozumiemy.



Iwona Przybylska de Acosta: gdy coś szamanom wyjdzie, ofiarowują bogom własne włosy lub zapalają kilkadziesiąt świec.

Fot. Krzysztof Góralski

W tej niebiańskiej wymianie zdań pomaga mi Iwona Przybylska de Acosta. Na blacie stołu rozkłada dwie talie kart. Na tej z liliowymi okręgami anioły trzymają tablice informujące o ich charakterze. Na tej drugiej, prawie zupełnie białej, przybysze w jasnych szatach udzielają konkretnych odpowiedzi na konkretne pytania. Takie karty ma w Polsce tylko Iwona. I chociaż nie jest wróżką, często zagląda do anielskiej talii. - Uwielbiam ją - mówi.

Iwonę Przybylską de Acosta nazywają szamanką. Nie lubi tego określenia, bo przecież nie żyje samą magią. Ona, rodowita Polka, przez 27 lat uczyła na Kubie rosyjskiego i... hiszpańskiego. Uprawiała krytykę literacką i dziennikarstwo. Wydała kilka tomików poezji, a na Kubie uznano ją za jedną z najlepiej rokujących poetek tego kraju. I być może zrobiłaby w tej dziedzinie oszałamiającą karierę, gdyby nie to, że po

pierwsze, komunistyczna cenzura ograniczyła działalność grupy literackiej do której należała, po drugie zaś Iwona trafiła

do starej szamaniki

- Na Kubę pojechałam z miłości. Po prostu zakochałam się w Kubańczyku. Jego rodzina pochodziła z Barbados, gdzie od dawien dawna uprawia się czary - wspomina Iwona. - A ja byłam ciekawa świata. Kuba wydawała mi się czymś zupełnie nowym. Niestety, zaraz na drugim roku studiów medycznych, tuż po urodzeniu dziecka, poważnie zachorowałam. Traciłam kontakt z rzeczywistością, czułam dziwne ciepło i wydawało mi się, że moje ciało unosi się gdzieś wysoko. Nigdy przy tym nie mdlałam, nie zmieniało mi się też ciśnienie. Lekarze nie potrafili zdiagnozować mojej przypadłości. Traciłam kontakt z rzeczywistością, czułam dziwne ciepło i wydawało mi się, że moje ciało unosi się gdzieś wysoko. Nigdy przy tym nie mdlałam, nie zmieniało mi się też ciśnienie. Lekarze nie potrafili zdiagnozować mojej przypadłości. Traciłam kontakt z rzeczywistością, czułam dziwne ciepło i wydawało mi się, że moje ciało unosi się gdzieś wysoko. Nigdy przy tym nie mdlałam, nie zmieniało mi się też ciśnienie. Lekarze nie potrafili zdiagnozować mojej przypadłości.

nie mogą ci pomóc, idź do santero - szamaniki.

Moja pierwsza szamanika miała na imię Arelis. Dom starej kobiety pachniał ziołami rozgrzany kubańskim słońcem. Santero wzięła Iwonę za rękę i powiedziała po prostu:

- Jesteś córką Yemaja, bogini wody i morza. Dobrze wiem, co ci dolega. Ale to wszystko było potrzebne po to, aby los sprowadził cię do mnie.

Po trzech miesiącach Iwona doszła do siebie. Jeszcze wtedy nie wiedziała, jak to się stało tak szybko. Pamięta tylko, że przez ten czas Arelis odprawiała nad nią stare, afrykańskie rytuały. Lekarze byli zdziwieni. Jeden z nich powiedział tylko z uśmiechem zadowolenia:

- No i w końcu leki pomogły.

A Iwona od pierwszej wizyty u Arelis leków już nie brała. Poza tym szamanika sama zaproponowała, że przekaże polskiej dziewczynie kilka magicznych tajemnic. Dlaczego właśnie jej? Może wyczuła swego. Dzięki niej Iwona Przybylska de Acosta stała się pierwszą chyba, polską adeptką santerii, odmiany afrykańskiego voo - doo.

Santeros

czyli uzdrowiciele duchowi to na Kubie lek na całe zło. Kontaktują się z innymi wymiarami, każdy ma swojego przewodnika, tam Po Drugiej Stronie. Leczą duszę, ale pomagają też w sprawach przyziemnych. Jeśli trzeba, pomogą młodej dziewczynie zdobyć miłość jej serca, rozwiążą małżeńskie i zawodowe problemy, „przyciągną” bogactwo i pieniądze. Przede wszystkim zaś uprawiają „zieloną medycynę”. Stosują zioła, ale nigdy nie kazały przyjmować ich do ustnie. Za pomocą orzecha kokosowego potrafią odpędzić złe energie.

To bardzo oryginalny dla Europejczyków rytuał. Najpierw wokół głowy chorego turla się cały orzech. Potem, kiedy ubywa księżyc, kokos trzeba rozłupać i wystawić na działanie Luny. Nad ranem pacjent obmywa sobie włosy mleczkiem, za wiązuje białą chustę i chodzi tak przez trzy dni. Santeros twierdzą, że to absolutnie sprawdzona metoda.

- Kubańscy szamani przyjęli mnie tak, jakbym sama była czarna - wspomina Iwona Przybylska de Acosta - Naj-

pierw uczyłam się oczyszczania aury za pomocą ziół. Polega to na zrobieniu miotłki, którą omiata się wokół głowy pacjenta. Potem miotłkę trzeba schować w woreczku i wyrzucić, koniecznie na roztajach, tam gdzie krzyżują się dwie drogi. Uczyłam się też wielu innych rzeczy, przyrządzania specjalnych recept. A santero wcale nie jest tak łatwo zostać. W tajniki magii wprowadzają matka i ojciec chrzestni, którym potem należy się posłuszeństwo. Kandydatowi na santero goli się głowę i ubiera w białą szatę. Przyszły szaman przebywa jakiś czas w odosobnieniu i składa przysięgę, że nigdy nie użyje swojej wiedzy w złej sprawie. Nad każdym czuwa jego duchowy przewodnik. Podobnie jest, kiedy już pomaga się potrzebującym. Santero stara się najpierw dowiedzieć, które z afrykańskich bóstw może pomóc w danej sprawie. Bogini Ochun, która lubi złote i pomarańczowe kolory, wspiera miłość, Elegua otwiera życiowe drogi. Kubańczycy wierzą, że ci wszyscy bogowie, bez względu na moc i miejsce w magicznym pantonie, uwielbiają słodycze. Dlatego na specjalnych ołtarzy-

kach zostawiają im ciastka lub czekoladki.

Magia działa. Iwona jest o tym przekonana, bo na Kubie santeros są tak popularni, jak w Polsce internści. Korzystają z ich wiedzy nawet ludzie z wyższych politycznych sfer, a na Kubie panuje jak najbardziej materialistyczny i realistyczny komunizm. Ci, ho i w strachu powtarzana plotka głosi, że

nawet Fidel Castro

otoczył się magią. Sprowadził w tym celu najlepszych szamanów swego kraju i z Afryki. „Zabezpieczyli” go tak mocno, że nikt teraz nie jest w stanie mu zaszkodzić. O tym jednak Iwona nie chce mówić.

Chętnie natomiast wspomina przedziwne przykłady działania czarów z uniwersytetu, na którym wykładała. Między dwoma znanymi profesorami doszło tam do niesnasek na tle zawodowym. Jeden z panów postanowił ukarać drugiego i poprosił o pomoc szamankę. Do czarów wykorzystano cmentarną ziemię, ocet i wiele innych „ciemnych” atrybutów. Ale magia, zamiast w profesora, uderzyła w jego rodziców.

Iwonę Przybylską de Acosta nazywają santero - szamanka. Nie lubi tego określenia, bo przecież nie samą magią żyje. Ale kubańscy szamani przyjęli ją jak swoją, czyli czarną.

Zmarła mu matka, zachorował ojciec. W ciężkim stanie znalazła się też szamanka, która podjęła się zadania. Ratowała ją przez kilka miesięcy grupa kolegów po fachu.

Alle santeros przede wszystkim pomagają. Potrafią podobno usunąć niewielki guz, radzą sobie z astmą, bezpłodnością. Kiedy im coś wyjdzie, ofiarują bogom swoje włosy albo zapalają kilkadziesiąt świec. Iwona obiecała kiedyś, że przez kilka miesięcy nie obeźnie włosów. Coś ją jednak podkuśiło i poszła do fryzjera. Potem to odchorowała. Obiecała jednak, że jeżeli wyjdzie z choroby to zapali bogini 150 świec. I tak, na św. Barbary, 4 grudnia ustawiła w katedrze w Saragossie ponad setkę ogników.

- Mimo wszystko jestem zupełnie normalnym śmiertelnikiem - śmieje się Iwona Przybylska de Acosta, od 1991 roku asystent w Zakładzie Iberystyki Uniwersytetu Wrocławskiego. - Mam jak każdy swoje problemy, ostatnio złapałam grype. Uważam

jednak, że polski stosunek do uzdrowiaczy jest bardzo krzywdzący. Lekarze widzą w nas konkurencję, a przecież powinniśmy się wspierać. Ja łączę wszystko, bioenergię, moc szlachetnych kamieni, magicznych proszków i olejków zapachowych, medytacji, ziół, o zdanie pytam skandynawskie runy, najstarszą chyba wyrocznię. Codziennie rozmawiam z aniołami z mojej talii kart. Wierzę w działanie specjalnie przygotowanych talizmanów, a także afirmacji. Jeżeli codziennie będziemy sobie powtarzać; mam cudowne, zdrowe, ciało, cudowne, udane związki, to tak rzeczywiście się zdarzy.

Magię czuć w powietrzu

Iwona wyczarowuje nie tylko samotnym dziewczynom wspaniałych mężczyzn, chorującym zdrowie ale także pieniądze. Na Kubie santeros wierzą, że bogactwo zapewnia domostwu taki oto rytuał: na rozgrzaną patelnię rzuca się zmieszane; łyżkę cukru, kaszy i cynamonu. Kiedy zaczynają

dymić, okadza się cały dom, poruszając patelnią zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Przy tym trzeba mówić: pieniądze przychodzą do mnie ze wszystkich stron. Spróbować nie zaszkodzi. I chociaż wielu uśmiecha się pod nosem na takie rady, telefon Iwony jest bez przerwy zajęty.

- Trzeba żyć w zgodzie z przyrodą, to cała tajemnica - mówi Iwona. Sama żyje w tempie, którego bez magii chyba nie można by wytrzymać. Z mężem mieszka w Hiszpanii, dzieci odwiedza we Francji, wnet rozpocznie w Polsce cykl kursów, żeby później szybko pojechać do Valencji, gdzie będzie uczyć Centrum Nauk Alternatywnych. Dyrektora tego ośrodka, Manuela Villaplana zobaczyła kiedyś podczas medytacji. Zadane z nich się nie zdziwiło, na swój szamański sposób znali się od zawsze. Ale najważniejsze jest to, że Iwona gotuje tak pysznie, jak najgłębiej wtajemniczona czarownica.

Joanna Lamparska

Och Ameryka!

Przyszłość nas fascynuje. Zarówno nasza własna, prywatna, jak i naszej rasy, ludzkości. W tej pierwszej sprawie niektórzy chodzą do wrózek, tym drugim tematem zajmują się naukowcy i pisarze opowieści z gatunku science fiction. Chciałbym krótko powiedzieć o tym, jak tę przyszłość widzą liczący się amerykańscy naukowcy.

Co nas czeka w XXI wieku

Ostatnio ukazały się w USA dwie doskonałe książki poruszające te zagadnienia. Pierwsza wyszła spod pióra filozofa - Roberta Heilbronera i nosi tytuł „Wizja przyszłości”. Autorem drugiej - „XXI wiek i dalej” - jest politolog i badacz stosunków międzynarodowych, James Davis.

Wspomniani autorzy są zgodni, że o ile nie jesteśmy w stanie przewidywać wydarzeń, o tyle możemy z dużą precyzją przewidywać trendy i kierunki rozwoju ludzkości. Zdaniem Heilbronera trwać będzie nadal burzliwy rozwój techniki i technologii we wszelkich dziedzinach. Ludzkość co najmniej do końca XXI stulecia budować będzie nowe urządzenia, coraz to doskonalsze środki łączności i komunikacji, produkować coraz skuteczniejsze leki, ale i coraz skuteczniejsze rodzaje broni. Nic też nie zapowiada, by ten trwający, burzliwy rozwój cywilizacji wpłynął jakoś łagodząco na wrodzoną nam agresywność. Tak więc coraz bardziej ucywilizowana ludzkość będzie coraz lepiej uzbrojona, a więc sama dla siebie coraz bardziej niebezpieczna.

Zdaniem autora „Wizji przyszłości” musimy, i to już w pierwszej połowie XXI stulecia, znaleźć jakieś praktyczne rozwiązania dla dwóch problemów. Pierwszy to ochrona coraz bardziej zagrożonego środowiska naturalnego. Drugi to jakiś rozsądny sposób na „administrowanie” naszą planetą. Jeśli chodzi o to „administrowanie”, to Heilbroner widzi dwie - przeciwstawne zresztą - drogi. Jedna to powołanie „rządu światowego”, który miałby dość sil i możliwości działania, by nie dopuścić do zbrojnych zatargów, wobec rozwoju techniki coraz bardziej niebezpiecznych. Ponieważ jednak powołanie takiego „rządu” w XXI stuleciu wydaje się rzeczą mało realną, Heilbroner proponuje utworzenie suwerennych władz regionalnych, obejmujących na przykład kontynenty, a co najmniej ich znaczne regiony. Autor wyraża przy tym pogląd, że do końca XXI wieku utrzymają się, a nawet pogłębią drastyczne różnice pomiędzy regionami rozwiniętymi i zamożnymi a biednymi. Do bogatych regionów Europy i Ameryki Północnej dołączą zapewne region Dalekiego Wschodu i być może Bliskiego Wschodu, podczas gdy w Azji południowej, Afryce i w Ameryce Łacińskiej nadal dominować będzie ubóstwo.

O ile filozof zajmuje się generalnymi tendencjami rozwoju ludzkości w XXI stuleciu, politologa interesują konfiguracje i układy sojuszy oraz sporów czy przeciwności interesów. Davis uważa, że w XXI wieku nadal w pełni obowiązować będzie zasada, że o sojuszach decydować będą nie tradycje czy sympatie, lecz interesy. Dokładnie jak w XX wieku, w którym w wyniku zmiany interesów radykalnym zmianom uległy także sojusze. Śmiertelni wrogowie z okresu I i II wojny światowej stali się najbliższymi sojusznikami, a sojusznicy - śmiertelnymi wrogami. Stany Zjednoczone nie mogą przez cały XXI wiek odgrywać roli samotnego supermocarstwa i w związku z tym światowego żandarma. Chociażby dlatego, że nie zgodzi się na to amerykańskie społeczeństwo. Ameryka, zgodnie ze swoim interesem, szukać będzie naturalnych sojuszników, a będą nimi oczywiście potencjalnie naj-

silniejsi, czyli Rosja, Chiny i Japonia. Dla tych krajów z kolei Ameryka też będzie naturalnym i najbardziej zgodnym z ich interesami sojusznikiem. Równocześnie może narastać niechęć pomiędzy najbogatszymi a najbiedniejszymi i rywalizacja w gronie najbogatszych, a więc na przykład pomiędzy zjednoczoną Europą a Ameryką Północną.

Stanisław Głąbiński

Przysznica zamiast prezerwatywy?

Czy powyższe pytanie może mieć sens? Każdy normalnie wykształcony człowiek odpowie, że nie. Ale zupełnie innego zdania bywają uczeni, na przykład doktor Donna Baird z renomowanego amerykańskiego Narodowego Instytutu Zdrowia.

Przez kilka lat pani doktor prowadziła badania kobiet pragnących zająć w ciąży. Podzieliła je na dwie grupy, według dość osobliwego kryterium - tych, które często biorą przysznice, i tych, które używają go najwyżej raz w tygodniu.

Wyniki, opublikowane na łamach prestiżowego „American Journal of Public Health” (czyli Amerykańskiego Biuletynu Zdrowia Publicznego) wstrząsnęły światem naukowym. Okazało się bowiem, że kobiety chętnie stające pod przysznice trzy razy rzadziej zachodzą w ciążę od tych, które konsekwentnie unikają kontaktu z bieżącą wodą.

Doktor Baird zapewnia, że badała jedynie pacjentki zdrowe, nie mające żadnych problemów z płodnością. Wszystkie były mężatkami, prowadziły regularne życie seksualne.

Na tym jednak nie koniec jej rewelacji. Okazało się, że wpływ przysznicy na przyszłe potomstwo zmniejsza się wraz z wiekiem. Natrysk jest najgroźniejszy dla pań w wieku 18-24 lat. Co trzecia z nich - jeśli tylko kąpała się zbyt często - nie mogła, mimo usilnych starań, zająć w ciąży. W miarę upływu lat - wskaźnik ten zmniejszał się i u kobiet 32-35 letnich spadł do poziomu 25 proc.

Jest to jednak i tak bardzo dużo w porównaniu z kobietami unikającymi natrysków. W tej grupie tylko co dziesiąta miała trudności z zapłodnieniem. Pani Baird wyklucza jakikolwiek wpływ na te wyniki schorzeń mężów. Wszystko zależy od wody.

W pierwszej chwili ginekologdy wybuchnęli śmiechem, uważając badania doktor Baird za jeszcze jeden chwyty reklamowy, przy pomocy którego ambitny naukowiec chce zdobyć popularność. Ale po uważnej analizie metod jej pracy okazało się, że nie można im niczego zarzucić. Badania były przeprowadzane solidnie i obiektywnie.

Wobec tego zaczęto się zastanawiać nad ich wynikami. Pojawili się już kilka, tłumaczących je, hipotez. Najbardziej przekonująca mówi, że wina nie leży w przysznicy, lecz w jakości wody. Prawdopodobnie zawiera ona mikroorganizmy, które wnikać do organizmu kobiety mogą powodować rozmaite, nawet trudno dostrzegalne infekcje. I albo one, albo „uruchamiane” przez organizm antytoksyny zaczynają działać antykoncepcyjnie.

Jak do tej pory są to jednak tylko hipotezy i lekarze na szczęście nie zalecają jeszcze kobietom, by przestały się myć.

A.M.

GLAZURA
TERAKOTA

MEBLE
ŁAZIENKOWE

SKLEPY FIRMOWE


TOMAR®

ELBLĄG
UL. ARMII KRAJOWEJ 7/8

GDAŃSK
UL. ŁĄKOWA 35/38

DZIENNIK BAŁTYCKI

Gratka

10.08 DODATEK BEZPŁATNYCH I PŁATNYCH ANONSÓW



gdzie?

BIURA OGŁOSZEŃ

"DZIENNIKA BAŁTYCKIEGO"

przy których znajdują się **skrzynki** „Gratki”

Gdańsk, Centralne Biuro Ogłoszeń:

80-886 Gdańsk, Targ Drzewny 3/7,

Gdynia, ul. Władysława IV 17

Gdynia, ul. Świętojańska 141 b,

Sopot, ul. Kościuszki 61,

Pruszcz Gdański, ul. Tysiąclecia 8,

Tczew, ul. 1 Maja 4

Elbląg, ul. Łączności 3,

Starogard Gdański, ul. Basztowa 3,

Wejherowo, ul. Sobieskiego 270

Tylko dla firm

Gratka - kupon 50% bonifikaty
na jedno ogłoszenie drobne w dniu 10.08

Treść

Nr rubryki ☐

Nr podrubryki ☐

Nie zapomnij!

WYNIJ KUPON - PRZEŚLIJ POD ADRESEM 80-886 GDAŃSK, TARG DRZEWNY 3/7 CENTRALNE BIURO OGŁOSZEŃ „DZIENNIKA BAŁTYCKIEGO” WRAZ Z DOWODEM WPŁATY NA KONTO: PRASA BAŁTYCKA SP. Z O.O. GDAŃSK, TARG DRZEWNY 3/7; BRE S.A. O/GDAŃSK 401807-314807-2511-01, ALBO OPLAĆ W JEDNYM Z BIUR OGŁOSZEŃ „DZIENNIKA BAŁTYCKIEGO”

* DLA FIRM CENA 1 SŁOWA (z bonifikatą) 43gr + 22% VAT

** - WSZYSTKIE CENY W NOWYCH ZŁOTYCH POLSKICH

- CZCIONKĘ W OGŁOSZENIU „WYRUSZCZAMY” BEZ DODATKOWYCH OPŁAT

- OGŁOSZENIA PRZYJMOWANE SĄ NA PODSTAWIE REGULAMINU PRZYJMOWANIA OGŁOSZEŃ „PRASY BAŁTYCKIEJ” DOSTĘPNEGO WE WSZYSTKICH BIURACH OGŁOSZEŃ „DZIENNIKA BAŁTYCKIEGO”

- BIURO OGŁOSZEŃ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO ZREDAGOWANIA I SKLASYFIKOWANIA OGŁOSZENIA

Oświadczamy, że firma jest/nie jest* płatnikiem VAT i upoważniamy „Prasę Bałtycką” Sp. z o.o. do wystawienia faktury VAT/rachunku* bez podpisu zlecającego

Nazwa firmy _____ NIP _____

adres _____ telefon _____

* niepotrzebne skreślić

podpis czytelny imię i nazwisko _____

CO ZROBIĆ

żeby ogłoszenie drobne ukazało się z 50% bonifikatą?

1 Kup „DZIENNIK BAŁTYCKI”

2 Wytnij kupon

3 Wyślij wypełniony kupon
lub wrzuć do skrzynki przy Biurze Ogłoszeń „DB” wraz z potwierdzeniem wpłaty na konto „Prasy Bałtyckiej”** bądź opłać w jednym z Biur Ogłoszeń tak aby trafił do czwartku do godz. 12 do Biura Ogłoszeń, lub skrzynki „Gratki”.

4 Ogłoszenie ukazuje się w „Gratce” - dodatku do „Dziennika Bałtyckiego” z 50% bonifikatą (43 gr+22% VAT- za słowo)

* KONTO: Prasa Bałtycka Spółka z o.o., 80-886 Gdańsk, Targ Drzewny 3/7, BRE SA O/Gdańsk 401807-314807-2511-01

Tylko dla osób prywatnych

Gratka - bezpłatny kupon
uprawniający do jednego ogłoszenia drobnego w dniu 10.08

Treść

Nr rubryki ☐

Nr podrubryki ☐

Nie zapomnij!

Wytnij kupon - **1** wrzuć do skrzynek „Gratki” przy Biurach Ogłoszeń lub **2** prześlij pocztą pod adresem 80-886 Gdańsk, Targ Drzewny 3/7 Centralne Biuro Ogłoszeń „Dziennika Bałtyckiego”.

* **TYLKO DLA OSÓB PRYWATNYCH**

** - W TREŚCI OGŁOSZEŃ DO PODRUBRYK ODNAJME-SPRZEDAM NALEŻY PODAĆ CENĘ

- WSZYSTKIE CENY W NOWYCH ZŁOTYCH POLSKICH

- OGŁOSZENIA W RUBRYKACH: ODDAM ZA DARMO I PROSZĘ O POMOC MOŻNA NADAĆ TYLKO OSOBIŚCIE W BIURACH OGŁOSZEŃ

- W OGŁOSZENIU PODAJ: MIEJSCOWOŚĆ, ADRES, NUMER TELEFONU

- BIURO OGŁOSZEŃ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO ZREDAGOWANIA I SKLASYFIKOWANIA OGŁOSZENIA LUB JEGO NIEZAMIESZCZENIA.

imię i nazwisko _____

adres _____

numer dowodu osobistego _____ telefon _____

podpis _____

CO ZROBIĆ

żeby Twoje ogłoszenie drobne ukazało się ZA DARMO?

1 Kup „DZIENNIK BAŁTYCKI”

2 Wytnij kupon

3 Wrzuć wypełniony kupon do skrzynki
przy Biurze Ogłoszeń „DB” lub wyślij pocztą tak, aby trafił do czwartku, do godz. 12 do Biura Ogłoszeń, lub skrzynki „Gratki”

4 Ogłoszenie ukazuje się w „Gratce” - dodatku do „DB” za darmo

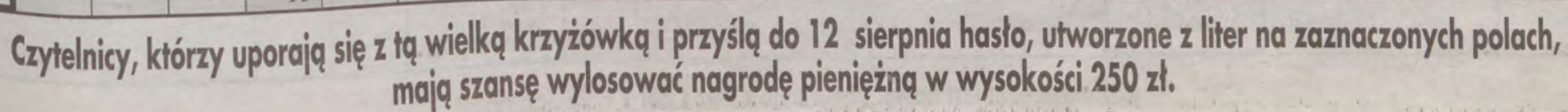


1 - wyślij pocztą



2 - wrzuć do skrzynki „Gratki”

STRONY DO WYJĘCIA!!!



8 rolnik z USA

po Gomulce

znany polski kardiolog

kierowca

coć, co upiększa

umowny znak

dramat Słowackiego

zachcianka

zorganizowany wypoczynek

zielony na zupe

morska baza USA na Pacyfiku

mięczak z różkami

faraon z „Faraona”

z paletą w dłoni

nosi ją tragarz

przerażenie

trzecia, czyli nocna

1 musi wyjść na zero

twarda rzeczywistość

goniec

rodzi klapsy

personel

Jacek, słynny lekkoatleta

nieślubny potomek

kolumnienka w balustradzie

uznany pisarz

ustrój

galareto-wata w morzu

nielot z Tasmanii

hycel

doliczany do ceny

wyspy z Kubą

związek przedsiębiorstw

arktyczna roślinność

ręczna klawiatura w organach

3 głęboki na zupe

imię Becketta

solenizant z 2 stycznia

pepitka

podziemie kościoła

choroba zawodowa kamieniarzy

zamknięcie bramy

dom z gałęzi

rolniczy stan w USA

na palcach bandziora

generał II Korpusu

stolica Królestwa Kastylii

dykcja

okruch skały

-powodzenie

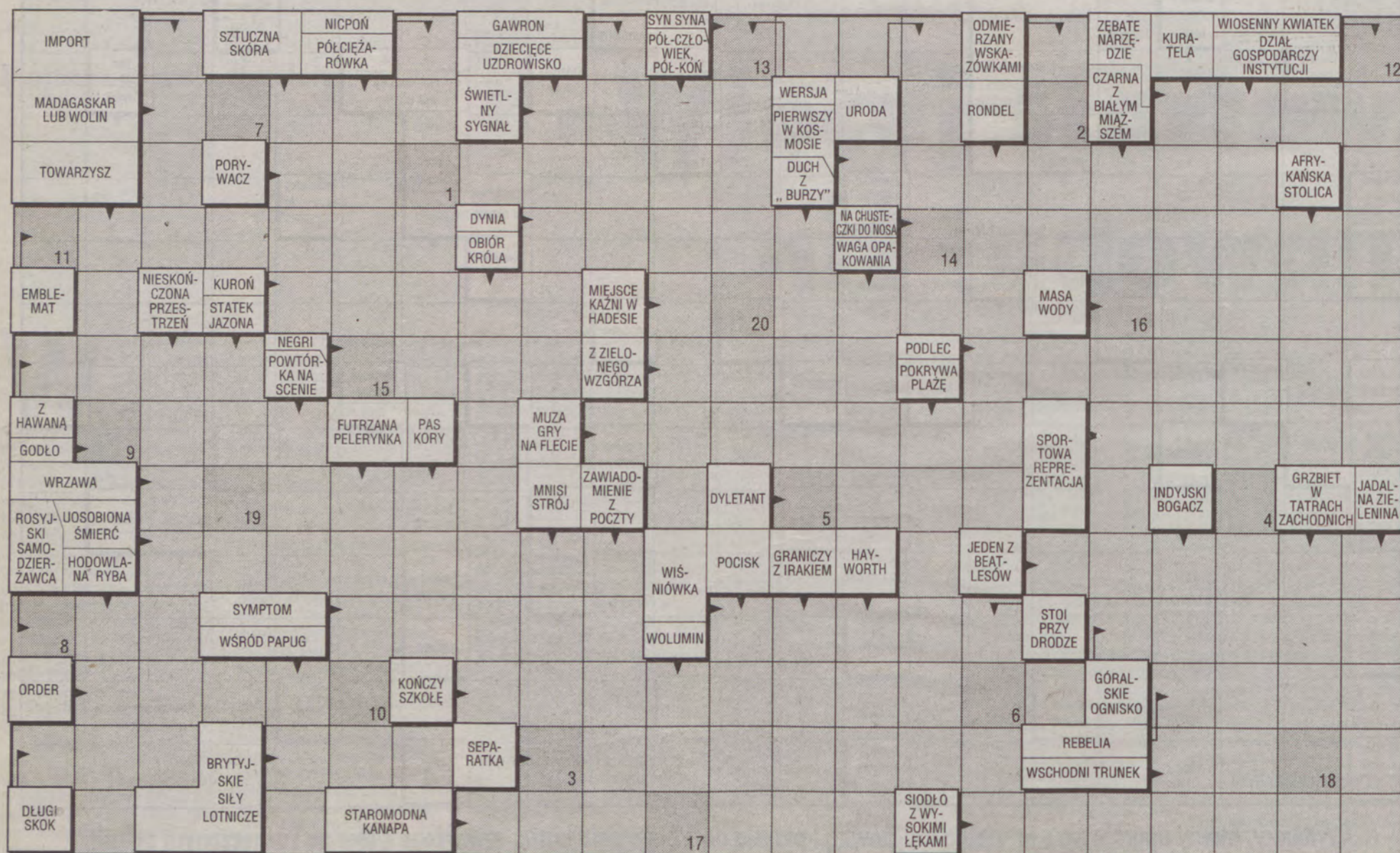
zjazd szlachty

chmura deszczowa

mąż Gai

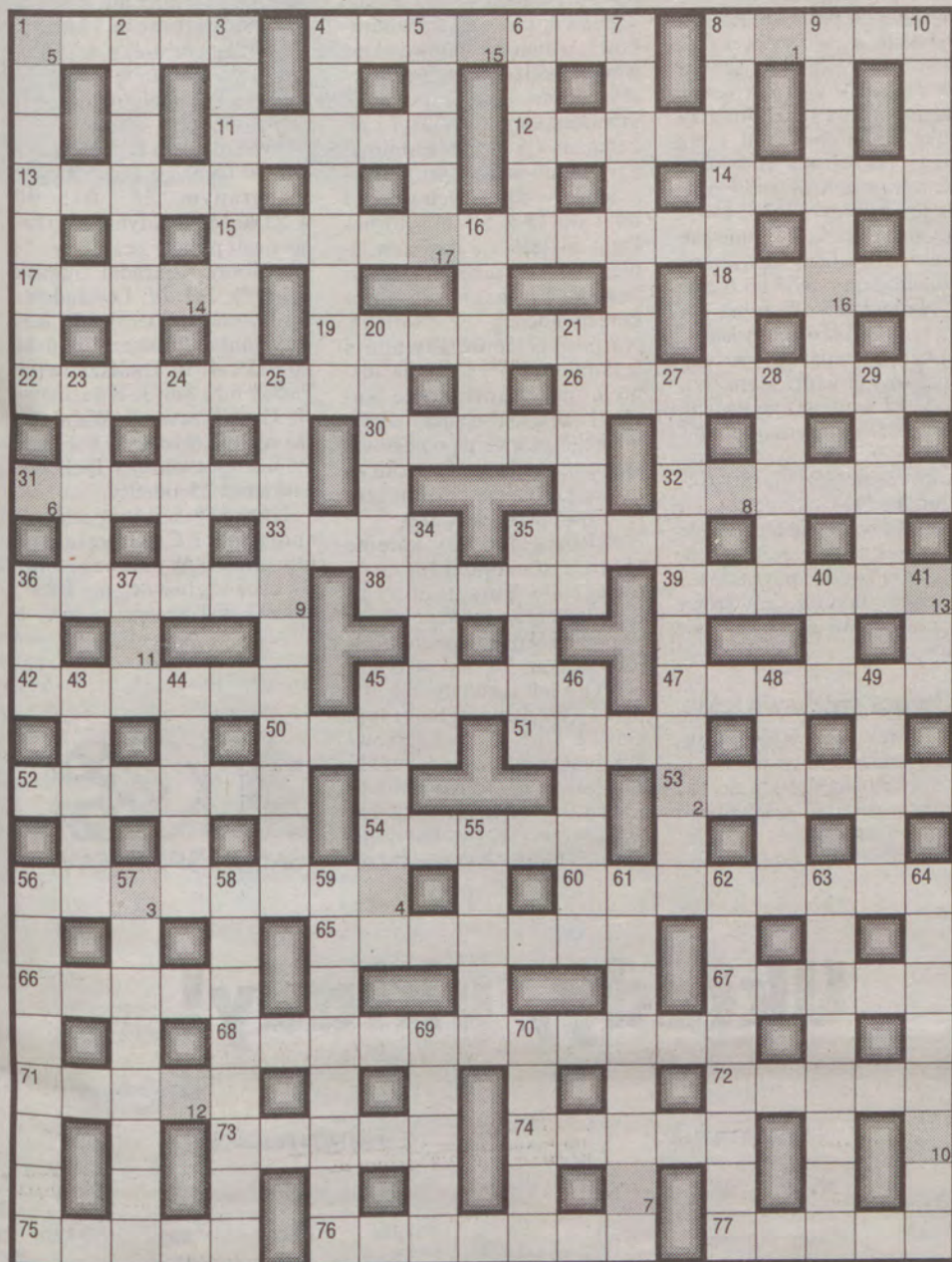
Rozwiązaniem jest hasło, utworzone z liter z pól 1 - 21 (aforyzm)

KRZYŻÓWKA PANORAMICZNA



Rozwiązaniem jest hasło, utworzone z liter z pól 1 - 20 (aforyzm)

KRZYŻÓWKA



Rozwiązaniem jest hasło, utworzone z liter z pól 1 - 17 (przysłowie)

POZIOMO:

- 1) „... na prerii”, rodzinny serial
- 4) republika nad Zat. Gwinejską
- 8) pracuje z kopytem
- 11) miasto Talesa
- 12) unika go brudas
- 13) miasto na Litwie, ze średniowiecznym zamkiem
- 14) największy port Bułgarii
- 15) obywatel świata
- 17) adresatka mickiewiczowskiej inwokacji
- 18) wodze
- 19) to, czego za wiele
- 22) spec od hipotez
- 26) notka prasowa
- 30) tu wystawiają się producenci
- 31) niegdyś zwana Rodezją Północną
- 32) niejedyn poprawiony w Atlancie
- 33) pod mostem w Petersburgu
- 35) kupisz w sklepie elektrycznym
- 36) bezkastowiec w Indiach
- 38) cyrkowa scena
- 39) studencki „dzienniczek”
- 42) siły zbrojne
- 45) małe do cedzenia
- 47) imituje złoto
- 50) 500 arkuszy
- 51) konkuruje z Kodakiem
- 52) leworęczny
- 53) sąsiad Szweda
- 54) główne miasto zagłębia Ruhry
- 56) oszust
- 60) nadmierne szczegółowe opracowanie na piśmie
- 65) wysmażona ze słoniny
- 66) hipotetyczna cząstka elementarna
- 67) upał
- 68) żalobnik
- 71) słusność
- 72) klucie w boku
- 73) śnieżna chałupka
- 74) argentyński taniec
- 75) dojrzała postać owada
- 76) miasto z Alhambra
- 77) do rozdrabniania warzyw

PIONOWO:

- 1) produkt rektyfikacji
- 2) kancelaria francuskiego burmistrza
- 3) latający samobójca
- 4) ciepło pod spodniami
- 5) ruszyło w Warszawie
- 6) Stallone w roli komandosa
- 7) monotony facet
- 8) autor „Mazepy”
- 9) przyprawa do mięs
- 10) obronna twierdza panująca nad miastem
- 16) górską krainą w Azji Środkowej
- 20) stan czynny przedsiębiorstwa
- 21) oznacza płatność za okazaniem
- 23) tkanina z Torunia
- 24) tytuł żydowskich nauczycieli zakonu
- 25) przenośnik
- 27) handlarka ciągnąca za wojskiem
- 28) hiszpański wódz
- 29) chwiejny na dachu
- 34) krajowa pod wodzą Bora-Komorowskiego
- 35) nisza
- 36) pyszni się ogonem
- 37) stado z ula
- 40) ciemnoszary lantanowiec
- 41) owocowy napój
- 43) idzie za plugiem
- 44) studium rysunku
- 45) dzielny wojak
- 46) cienki u myszy
- 48) Polo, podróżnik
- 49) wywołuje czerwonkę
- 55) powłóczysty strój
- 56) zginął lecąc koło Gibraltaru
- 57) bezrząd
- 58) mniejsze od Honsiu
- 59) wróży z gwiazd
- 61) morska w Rozewiu
- 62) ciasto do tortu
- 63) brzoń z bębniem
- 64) gruchający gołąb
- 69) wielkie drzewo
- 70) w uchu igły

Rywale, rekordy, medaliści

101 pytań olimpijskich

Rozstając się dziś z quizem 101 pytań poprzedzających igrzyska w Atlancie, dziękujemy wszystkim uczestnikom za wytrwały udział w tej atrakcyjnej zabawie, o czym świadczyły sterty nadsyłanych odpowiedzi. Podajemy prawidłowe odpowiedzi na ostatnią porcję pytań z „Rejsów” z dn. 19 lipca: 1. Jerzy Kulej; 2. Ar-

temor; 3. Czechosłowacja (1920); 4. Za 4 lata w Sydney. Nagrodę wylosowała p. Maria Sawicka z Gdańska. Serdecznie gratulujemy! W sprawie odbioru kasety wideo należy porozumieć się z naszym Biurem Konkursów w gdańskim Domu Prasy, przy Targu Drzewnym 3/7, pok. 201b.

Rozwiązanie zadań z 19 lipca

Krzyżówka za 250 zł

- nagrodę otrzymuje Mirosław Kłos z Gdańska Wrzeszcza.

Hasło: „Nie starzeje się ten, kto nie ma na to czasu”.

Krzyżówka bliźniacza

- nagrody otrzymują: Regina Maciejewska z Pruszcza Gd. - 50 zł, Stanisława Jakubek ze Straszyna - kosmetyki.

Hasło: „Człowiek uczyni wiele, by go lubiano i uczyni wszystko, by mu zazdrośczone”.

Krzyżówka panoramiczna

- 50 zł otrzymuje Anna Kołodziejczak z Gdańska Brzeźna.

Hasło: „Przesyt rodzi niedosyt”.

Krzyżówka wirówka

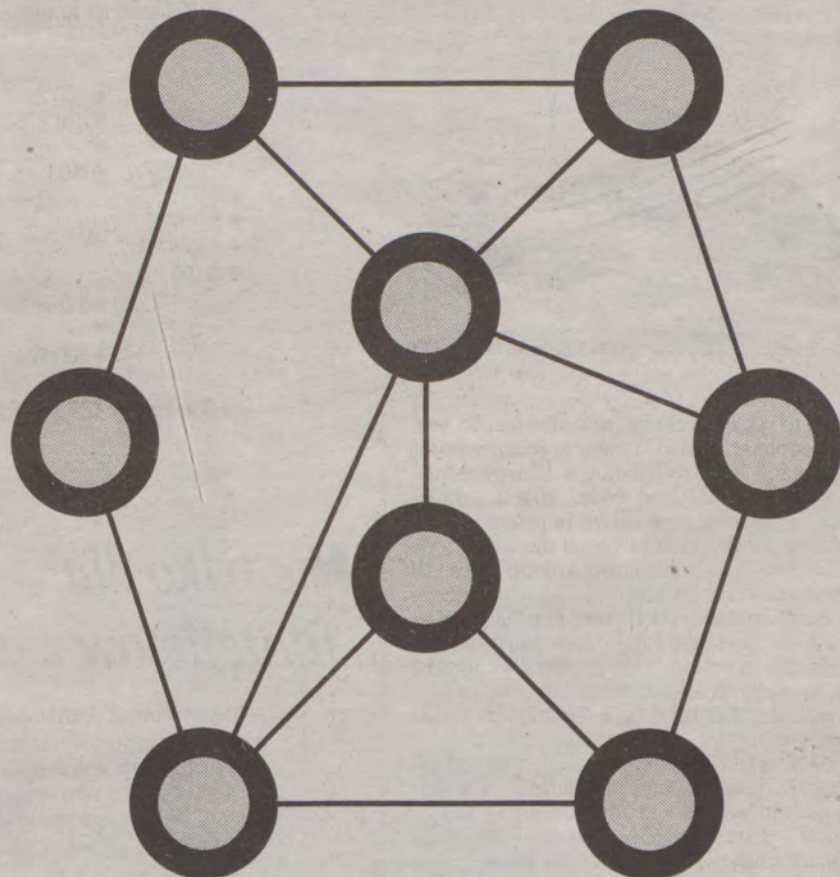
- 50 zł otrzymuje Anna Sidor z Żukowa.

Hasło: „Kto kocha, wybacz”.

Na Czytelników, którzy do 12 sierpnia nadesłają prawidłowe rozwiązania naszych zadań czekają następujące nagrody:

za WIRÓWKĘ 50 zł; za KRZYŻÓWKĘ Z HASŁEM - 50 zł;
za KRZYŻÓWKĘ PANORAMICZNĄ - 50 zł. + komplet kosmetyków;
Odpowiedzi należy opatrzyć właściwymi dopiskami.

Nasz adres: Dom Prasy, 80-886 Gdańsk, Targ Drzewny 3/7, Biuro Konkursów.



1,3,4,5,6,7,8,9

Spróbuj rozmieścić na diagramie osiem przedstawionych liczb w taki sposób, aby każda para pól połączonych linią zawierała liczby różniące się od siebie co najmniej o 3.

Śliski grubas dla obrzydlivych i cierpliwych

Z wędką

Jego wygląd sugeruje nam, że mamy do czynienia z tłuszcikiem, a tymczasem mięso lina to delikates w niektórych krajach wysoko ceniony, a lin młody to prawdziwy rarytas. Niestety, te duże (powyżej kilograma) poławiane przez „rasowych” wędkarzy trącą mulem i bardzo trudno ten „posmaczek” zlikwidować.

Miejsca „stałego zamieszkania” lina to niezbyt głębokie, zarośnięte partie jeziora. Żyje stadnie. Samotnego lina raczej się nie spotyka, zaś „małżeństwa” lina nowe to przykład doskonałego związku na dobre i na złe.

Drapieżniki ich nie niepokoją - może dlatego, że śliskie, może przez szacunek dla zasad moralnych, jedynie drapieżnik - człowiek... Ooo! ten to potrafi.



Rys. Wiesław Matuszek

Dobrze, jeśli to rybak sieciowy, zawodowiec, bo wtedy prawdopodobnie i dziad, i baba w jeden wpadną worek. Pamiętam, Jezioro Głębokie w Klonowie, plecionurek z kuszą schodzi pod wodę... strzela... trafiony. Partner nieszczęsnego z całym impetem pisał nurka w maskę i cała „zabawa” omal nie zakończyła się tragicznie. Po 2 godzinach, uspokojony nurek dał nura a tam owdowiały lin kręcił się jak pies między badylami, nadal szukał i szukał swojej kochanki. Kiedy więc rankiem, wyspane i najedzone państwo linostwo sunie sobie majestatycznie na spacer wzdłuż szuwarów, to (na szczęście) o wiele za późno na spranie im sielanki. Tak im dobrze, że mają po prostu gdzieś nasze smakoliki.

Jeśli już koniecznie chcemy być przyczyną rodzinnych dramatów (jesteśmy przecież ludźmi - istotami obrzydliwymi) to przede wszystkim musimy długo, długo zanęcać - przyzwyczaić nadzwyczaj ostrożne liny do regularnych posiłków na naszym łowisku i po tygodniu, o zmierzchu... siadamy, zarzucamy zestaw z „filigranowym” spławikiem, a liny ni to zasypiając ni to wachając kołyszają spławiczkiem, przesuwają w tę i wó w tę, i znowu spokój, i znowu coś się dzieje, może jak ten dziad i baba - „to ty, kochanie pierwsza”... - wreszcie któreś się zdecydowało. Wzięło. Poooszło! Wysnuło całą żyłkę z kołowrotka... Ależ to silna bestia.

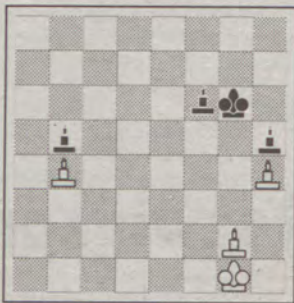
Już ciemno, liny biorą a spławika nie widać. Idą w ruch latarki a może wystarczy?

Smacznego.

Mat

Szachy

pod redakcją Piotra Sobolewskiego



M. Botwinnik 1945

diagram

Kontrola diagramu: B: Kg1, p.: b4, g2, h4; C: Kg6, p.: b5, f6, h5. Pozycja publikowanego dzisiaj zadania powstała w jednej z partii rozegranej przez M. Botwinnika w seansie gry równoczesnej jaki odbył się w styczniu 1945 roku w ministerstwie przemysłu lotniczego ZSRR.

Czarne stawiały do tej pory dzielny opór mistrzowi świata,

ale końcówkę rozegrały już bardzo słabo. Tymczasem po najlepszej grze białe aby wygrać zmuszone były ... ułożyć zadanie, które następnie zostało opublikowane. Myślę, że mimo pozornej prostoty rozwiązanie da państwu dużo satysfakcji, a jego estetyka zadowoli najwybredniejsze gusta. Nagrody za rozwiązanie zadania z dnia 12.07.96 otrzymują: L. Jankowski ul. Gojawczyńskiej 4a/20 80-286 Gdańsk oraz R. Szymczak ul. Wojewódzka 23/2 81-437 Gdynia. Dotarli do mnie także z opóźnieniem rozwiązania zadania z dnia 5.07.96 panów A. Narlocha, S. Wargina i A. Waśkowskiego - ich kartki błędziły po redakcji - w imieniu firmy przepraszam. Nagrodę za rozwiązanie zadania z dn. 5. 07 otrzymuje dodatkowo A. Waśkowski ul. Świechockiego 3B/17 80-041 Gdańsk. Odkryłem, jak się wydaje, przyczynę niedocierania kartek z rozwiązaniami do mnie - sądzę, że powstałe zamieszanie uda mi się wkrótce opanować. Winne okazały się urlipy!

Gorące szachowe lato

* Dzięki uprzejmości naszego stałego korespondenta p. Z. Narlocha dotarli do nas rezultaty turnieju szachowego dla osób niewidomych i słabowidzących zorganizowane-

go przez Stowarzyszenie Kultury Fizycznej Sportu i Turystyki Niewidomych i Słabowidzących Cross z Warszawy. Turniej rozegrano w Ustroniu Morskim w dniach 15 - 28. 06. 96 a udział w nim wzięło 48 zawodniczek i zawodników - w tym 8-osobowa ekipa z województwa gdańskiego. Rozegrano 9 rund systemem szwajcarskim. Zwyciężył z rezultatem 7,5 pkt R. Kulpiński z Wrocławia a w grupie zawodników dzielących miejsca od 4 do 13 z 5,5 pkt dorobkiem znaleźli się nasi zawodnicy: K. Perszewska, J. Dziubek, R. Lipiński oraz autor korespondencji - Z. Narloch. Na podkreślenie zasługuje wymieniona organizacja turnieju oraz bardzo dobre warunki zakwaterowania i wyżywienia. Naszą ekipą opiekował się ppan R. Kulik, któremu za troskę i włożoną pracę należą się słowa podziękowania.

* Rozegrano trzy kolejne turnieje na sopockim molu o nagrodę Bursztynowego Konika organizowane przez Sopockie Towarzystwo Kulturalne oraz MOSiR w Sopocie. Oto ich rezultaty: 14. 07. 96: 1. W. Libura Konradia Gdańsk 20,5; 2. A. Czarnowski Jantar Pruszcza Gdański 17,5; 3. A. Kojro nie zrzeszony 16,0. Startowało 22 zawodników; 21. 07. 96: 1. B. Rosiak Jantar Pruszcza Gdań-

ski 8,5; 2-3. T. Panek i W. Libura obaj Konradia Gdańsk po 7,5. Startowało 11 zawodników; 28. 07. 96: 1. M. Kut Jantar Pruszcza Gdański 10,0; 2. Z. Grandowicz PTSz Puck 9,5; 3. A. Teplitz nie zrzeszony 8,5. Startowało 12 osób. Najbliższy turniej z tego cyklu już w niedzielę 4. 08. 96 na sopockim molu o godz. 11. Zapraszamy!

* W kolejnym turnieju z cyklu GP Ogniska TKKF Doker rozegranym 28. 07. 96 w ZDK MPH Gdynia uzyskano następujące rezultaty: 1. W. Libura Konradia Gdańsk 8,0 (z9); 2-3. M. Lewandowski Konradia Gdańsk i B. Rosiak Jantar Pruszcza Gdański po 7,5; 4. B. Daniszkiewicz Pasiek 6,5; 5-6. J. Kwaśniewski Gryf Tczew i Z. Wiśniowski MPH Gdynia po 6,0. Następne spotkanie w Dokerze czeka nas 25. 08. 96

Nagrody fundują salony sportowe KC: Gdynia, ul. Obrońców Wybrzeża; hol dworca głównego PKP; Gdańsk, DT Sezam.



W brydżu jak w życiu

W tegorocznym konkursie Bols Bridge Press Prize 1995 Erwin Schon opisał rozdanie:

Rozdanie grane było w meczu drużyn Fritza Babscha na turnieju teamów w Austrii.

♠ AW8
♥ 10987642
♦ -
♣ 862
N
♠ 6
♥ AKDW5
♦ -
♣ AKW9754
W
♠ KD10975432
♥ -
♦ KDW4
♣ -
S
E

7trefl, rozgrywa E, 7 pik, rozgrywa S

Licytacja na stole 1

N	E	S	W
2 kier ¹	6 trefl	6 pik	7 trefl
ktr ² wszyscy pas			
1. 2 kier - słabe dwa			
2. ktr. - Lightnera, na wist karowy			

Wist karowy, rozgrywający, przebił w stole pika. Przeszedł do ręki treflem i przebił w stole kiera. Ściągnął atuty i wziął resztę lew, razem 13. Zapis +1630.

Atak karowy, rozgrywający zabił w stole, ściągnął atuta i zagrał króla karo. Zawodnik W był bezradny, as karo nie wziął lewy. Rozgrywający wziął 13 lew i zapisał sobie 2940.

Licytacja na stole 2

N	E	S	W
pas	2 karo ¹	pas	3 karo
pas	3 kier	4 pik	4 BA
5 karo	6 trefl	6 kier	ktr.
7 pik	ktr.	pas	pas
rktr. wszyscy pas			
1. 2 karo - forsing do końcówki			
2. 5 karo - renons			
3. 6 kier - renons kier i trefl			

Razem drużyna Babscha zdobyła 4570 punktów. Autor artykułu E. Schon tak skomentował to rozdanie: „gram 65 lat i nie widziałem ani razu więcej układu, w którym szlema można wygrać na obu liniach”.

Na podstawie „Brydż” - 1996 nr 6

Nie tylko dla filatelistów

Dziś wchodzi do obiegu pierwszy sierpniowy znaczek. Jest to znaczek o nominale 40 gr, z wieloletniej serii wydawanej od 1993 r., prezentującej wizerunki M. Bożej z sanktuariów maryjnych w kraju. Obecny znaczek pokazuje figurkę M. B. Przeczyckiej. Zapewne niewielu mieszkańców Gdańska orientuje się, gdzie leży Przeczycza. Otóż jest to wieś nad Wisłokiem, w połowie drogi pomiędzy Jasłem a Pilznem, małym miasteczkiem na trasie Tarnów - Rzeszów. Kościół Wniebowzięcia NMP, w którym znajduje się czczona

przez wiernych figurka, został wzniesiony w XVI w. na miejscu starego kościoła z XIV w. Figura została wyrzeźbiona z drzewa lipowego w 1470 r. w stylu późnego gotyku. Kult M.B. z Przeczycy rozwinął się już w XVI w. Kościół odwiedzają liczne pielgrzymki krajowe oraz z pobliskiej Słowacji i Węgier, szczególnie 15 sierpnia i 29 września. W 1925 r. Pius XI koronował figurę. Obecne korony nałożono w 1975 r. przy odnawianiu kościoła. Datownik okolicznościowy stosowany jest w najbliższym urzędzie pocztowym, tj. UP Przostek 38-210. (Stempel można jeszcze uzyskać w okresie 28 dni od daty jego stosowania.) Projektował emisję Zbigniew Stasiak.

W tym miesiącu członkowie filatelistycznego klubu zainteresowani pocztowymi emisjami

o motywach religijnych - „Św. Gabriel”, mają sporo okazji do powiększenia swych zbiorów, gdyż oprócz znaczka wejdą do obiegu 16 bm. trzy kartki pocztowe związane z uroczystościami maryjnymi i stosowane będą okolicznościowe datowniki. 18 bm. w UP Częstochowa 25 - XII Międzynarodowy Kongres Mariologiczny, a 24 bm. XIX Międzynarodowy Kongres Maryjny. 25 bm. w UP Myszków 4 - datownik dotyczący koronacji NMP Mrzygłodzkiej. Jej wizerunek znajduje się na karcie pocztowej. W dniach 14-18 bm. w węgierskiej miejscowości Kecskemet odbędzie się X Kongres Światowej Federacji Stow. Filatelistycznych „Św. Gabriel” i Międzynarodowa Wystawa Filatelistyczna.

A oto kilka najbliższych datownikowych okolicznościowych:

5 bm. w UP Włocławek 1 - Mistrzostwa Polski w akrobacji szybówcowej, 15 bm. w UP Mrągowo - II Festiwal Kultury Kresowej, a w UP Polanica Zdrój - XXXIII Międzynarodowy Festiwal Szachowy pamięci Akiby Rubinsteina.

(t)

